ROZMYŚLANIA

O MĘCE CHRYSTUSA PANA

ułożone podług nauk

X. WALERYANA KALINKI C. R.



ROZMYŚLANIA
O MĘCE CHRYSTUSA PANA.


INRI

ROZMYŚLANIA
O
MĘCE CHRYSTUSA PANA

ułożone podług nauk

X. WALERYANA KALINKI C. R.

W KRAKOWIE,
W DRUKARNI «CZASU» FR. KLUCZYCKIEGO I SP.
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.
1900.

Niniejsze „Rozmyślania o męce Chrystusa Pana ułożone podług nauk X. Waleryana Kalinki C. R.“ przeczytałem. Są one ze wszystkiem z nauką św. Rzymsko-Katolickiego Kościoła najzupełniej zgodne, a treści tak głębokiej i pięknej, że gorąco życzyć sobie tylko można, iżby jak najrychlej drukiem rozpowszechnione zostały.

Kraków, d. 4 Października 1892.

X. Jozafat Sobierajski,
Kan. kat., Cenzor ksiąg treści religij.

Nr. 4089.

Approbamus.

Cracoviae die 5 Octobris 1892.

L. S.

† A. Card. Dunajewski.

L. 5695.

Pozwalamy przedrukować.

Z Konsystorza Książęco-Biskupiego.

W Krakowie, dnia 10 Listopada 1899 r.

L. S.

X. Gawroński, w. g.

Nakładem XX. Zmartwychwstania Pańskiego.

I.

Męka Pańska szkołą cierpienia.

Przez pierwsze trzydzieści lat swego życia uczył nas P. Jezus poddawać się pokornie woli Ojca i w ciszy i w skupieniu przygotowywać się do pracy apostolskiej, bo ta cisza i skupienie koniecznym jest warunkiem dobrego apostolstwa, o czem ludzie żyjący w świecie zdają się niewiedzieć. Przez następne trzy lata uczył nas, jak mamy żyć, w co wierzyć, jak prawdę głosić, jak służyć ludziom bez względu na ludzi. Nakoniec w ostatnich swego pobytu na ziemi dniach, dał nam wzór, jak cierpieć.

Dziwny to porządek: naprzód wyrzec się samego siebie, potem oddać się drugim, a naostatek cierpieć; dziwny, a jednak odtąd niezmiennie w sługach Chrystusa się powtarza. Snać cierpienie konieczną jest próbą wyrzeczenia się, koniecznem uzupełnieniem służby naszej dla bliźnich. Więc niedosyć prawdę uznać i wyznawać, niedosyć wierzyć i żyć po katolicku, niedosyć życie swoje, jak Chrystus Pan zapełnić szeregiem usług dla braci; tegoby dosyć może było, gdyby po śmierci nie czekała nas wieczność, ale że jest wieczność, i że do niej nic skalanego wejść nie może, musimy cierpieć. To jest prawo, od którego żaden z uczniów Chrystusowych wyłamać się nie zdoła: *przez wiele utrapień wejść nam potrzeba do Królestwa Bożego.* (Ac. Ap. XIV, 21).

Ale dlaczegoż to prawo i czyliż nie mamy w duszy naszej innego także prawa? Azaliż wstręt do cierpienia nie jest nam wrodzonym, aza-

liż nie wzdrygamy się mimowolnie na widok krzyża, który na nas spada? A dalej, czyż dusza nie łaknie uśmiechu i wesela, jak kwiat słońca i jak kwiat czyż bez nich nie omdlewa? Jakże pogodzić to pragnienie szczęścia, dane nam od Boga, z tą koniecznością cierpienia, także od Boga nałożoną? Ta jedna sprzeczność powinnaby nas przekonać o wielkim nieporządku, jaki nastał w duszy naszej skutkiem grzechu pierworodnego, gdyż odtąd szukamy szczęścia w nas samych, kiedy ono jest tylko po za nami, w Bogu, i jak odtąd, skutkiem tegoż grzechu pierworodnego, zaczęła się w nas i trwa nieustannie walka między życiem naturalnem, które żyje sobą i używaniem siebie, i życiem nadnaturalnem, które żyje ciągłem umieraniem sobie i dopiero przez zupełną śmierć siebie przychodzi do pełności i rozkwitu.

Trudne to są rzeczy do zrozumienia i wymagałyby długich wy-

wodów, przykładów i objaśnień. Zacznijmy od rzeczy jasnej, o której nikt nie wątpi. Nikt z nas nie jest bez grzechu, a choćby grzechu nie miał, są w nim jakieś pożądliwości wrodzone, z grzechem pierworodnym lub grzechem uczynkowym nabyte i zaostrzone. A każdy grzech wymaga expiacyi, bo nic skalanego nie może wejść do Królestwa Bożego; każda pożądliwość, każdy zwrot do siebie, każde nieczyste używanie siebie potrzebuje oczyszczenia, i ku temu właśnie służą krzyże i dolegliwości odpowiednie. Dolegliwości te są przez nas zasłużone, lecz i dla nas zasłużone. Czeka nas czyściec po śmierci, lecz część jego, a wyjątkowo nawet cały, możemy tu odbyć za życia. Zatem, kiedy Bóg na nas zsyła krzyże, to niekoniecznie z gniewu, częściej z miłości, sprawiedliwie zawsze, ale i zawsze litościwie. Im więcej tu naszem cierpieniem zapłacimy, tem mniej tam pozostanie do obrachunku, a rachunek tameczny

nieskończenie twardszy i ściślejszy niźli tutaj; jedną łzą tu wylaną spłukać możemy to, na co tam trzeba będzie łez potoku. Biada, ach stokroć biada ludziom, od których Bóg żadnej na tym świecie nie żąda zapłaty. Bo jeśli, ogólnie mówiąc, nikt nie jest pewnym swojego zbawienia, to tem mniej jest pewnym, im mniej cierpiał za życia. A o takim, coby wcale nie cierpiał, należałoby z trwogą przypuścić, że za wszystkie swoje cnoty i uczynki wziął już na tym świecie nagrodę, bo Bóg nic bez nagrody nie zostawia, ale że go na tamtym już żadna nagroda nie czeka, owszem czeka go tylko kara! Ach, widziałem takich ludzi, którzy życie swoje tak roztropnie, spokojnie i wygodnie umieli urządzić, że ono toczyło się jak koła wozu parowego po szynie żelaznej, i skończyło się też bez żadnego wstrząśnienia, bez żadnego cierpienia, owszem przy zabawie — mamże dodać — i bez

Sakramentów! Co ich tam spotkało, strach pomyśleć!

Św. Paweł powiada, że mamy w sobie uzupełnić to, czego niedostawa dla nas w męce Chrystusa Pana. Zbawiciel, czyniąc za nas rachunek z Ojcem swoim, to wszystko, co nasze przechodziło siły, przyjął na siebie, za nas spłacił, karę nieskończoną za nieskończoną obrazę Boga i śmierć wieczną, i gdyby to mogło być, gdybyśmy wyłącznie Jego kosztem mogli być zbawieni, byłby nas i od czasowego cierpienia swą męką i modlitwą oswobodził. Ale przyznajmy, żeby to się nie zgadzało ani ze sprawiedliwością ani z naszem dobrem moralnem, gdybyśmy bez żadnego wysiłku ze swej strony, mieli wiecznego szczęścia używać. Jakaś więc resztka pozostała i ta resztka już do nas należy; musimy przyjąć ten dług. Musimy pamiętać, że u Boga, który jednym rzutem oka ogarnia i teraźniejszość i przyszłość naszą, stoi nasz rachunek zawsze

otwarty z tego i z tamtego życia zarazem; czy tu, czy tam, pewna doza cierpień jest nieodzowną cyfrą w owym bilansie, wejść musi nieuchronnie w ekonomikę naszego zbawienia; ściele ona drogę pewną, drogę jedyną do Królestwa Bożego. Skoro Chrystus, chociaż był Synem Bożym, skoro Marya, chociaż była Matką Bożą, a oboje bez skazy, skoro Apostołowie, Męczennicy i wszyscy, ilu ich było, Święci i ulubieńcy Boga, musieli przechodzić przez srogie boleści, twarde upokorzenia, czyż może być, aby ktoś z nas inną drogą się zbawił. Nie skarżmy się więc na cierpienie, wstrętne jest i przeciwne naturze, ale bez tego nie byłoby cierpieniem, nie byłoby zasługą i lekarstwem. Nikt się nie wyleczy nie spełniwszy kielicha, który dlań przeznaczony i jeżeli tęsknimy za naszą Ojczyzną, nie stróńmy od tej królewskiej drogi Krzyża, bo ona niebo nam roztwiera.

Są więc cierpienia lekiem, są odpłatą, są do nieba wkupnem. Ich rodzaj, skala, natężenie, odpowiadają tej wielkiej rozmaitości złego, które duszę ludzką dręczy. Kto nawykł sądzić siebie, ten musiał dostrzedz, że boleści i krzyże zawsze mają związek z jakąś słabą stroną naszego duchownego jestestwa, że karcą i krzyżują jakąś w nas krzywinę, bądź złe uczucie, bądź jego nadmiar, zatem zawsze jakiś nieporządek.

Jak ten, co lubi jeść dużo i smaczno, wcześniej czy później nabawi się chorób żołądka i przynajmniej w owej chwili poczuje wstręt do jadła; jak ten, co goni za sławą, musi przejść przez upokorzenia innemu nieznane, wpaść w gryzącą o sobie wątpliwość i przynajmniej w tej chwili zmierzić sobie własną chwałę, tak i ten także, co łaknie pociech dla serca, musi napić się niekiedy goryczy, doznać zawodów i wlec czas jakiś życie swoje w znużeniu, zniechęceniu, oschłościach, obrzydzić so-

bie owe skarby serca, których pożądał. Każdemu pod miarą, wagą i liczbą, a nigdy — nigdy nad siły, oznaczył Bóg cierpienia, stosownie do wad i potrzeb jego duszy. A jak miłosiernie i opatrznie!

Zdarza się nieraz, ledwo że nie zawsze, że z wadami naszemi zrośli, ani z niemi nie walczymy, ani ich za wady nie poczytujemy, ani nawet domyślamy się ich istnienia, zatem się z nich nie oskarżamy, aż Bóg cierpieniem, które one sprowadzą, pokaże nam dobrotliwie, co tkwi w głębi nas.

Lecz jakże się to dzieje, że cierpienia tak opatrznie i sprawiedliwie dla nas obmyślane, tak mało w nas przynoszą tego skutku, który Bóg zamierzył? Jak się to dzieje n. p., że choroba, której ogólnem zadaniem jest zmniejszyć w nas upodobanie w sobie, czyni nas owszem powolniejszymi dla siebie, że duch wychodzi z niej stępiony, jakby w pieluszki obwinięty, w miłości Bożej

ostygły, do posług bliźnim leniwy i w większej jeszcze niewoli ciała niż przedtem był? Że obmowa, potwarz i wszelka niesława, które powinny oderwać nas od cenienia siebie, od szukania chwały u ludzi, przypomnieć, że tyle jedynie warci jesteśmy, ile jesteśmy warci przed Bogiem, czynią nas przeciwnie drażliwszymi na sąd ludzki i tak głęboko wewnątrz wzburzonymi, żeśmy wnet gotowi mścić się na bliźnim, szarpać jego sławę, bez żadnej na Boga pamięci? Że niewdzięczność ludzka, której zadaniem sprostować naszę intencyę w uczuciu i w uczynkach, ogrzać i uświęcić miłością Boga uczucie nasze dla ludzi, najczęściej wystudza nas, zakwasza, i tak dobrze do służby Bogu jak służby ludziom zniechęca? Że strata majątku, której przeznaczeniem odciągnąć serca nasze od dóbr ziemskich a nakłonić do zbierania skarbu w niebie, czyni nas najpospoliciej jeszcze chciwszymi na grosz, twardszymi dla braci,

obojętniejszymi o życie wieczne? Że śmierć drogiej osoby, zamiast przerzucić serca nasze w świat nadziemski i pobudzić do ukochania woli Bożej, wznieca w nas przeciwnie jakby żal do Boga, buntuje przeciw Niemu, wpędza w martwość duchową, w której albo żadnej nie przyjmujemy pociechy, albo najmniej godne? Że, jednem słowem, przeciwność każda, która powinna pohamować, poobcinać wybujałości naszej natury, przywieść nas do trzeźwości i spokojnego natężenia sił, czyni nas naodwrót niecierpliwszymi, i albo w sobie zatwierdza albo rozstraja i zniechęca?

Jak się to dzieje? Bo źle cierpiemy. Obaczmy, jaki jest proces psychologiczny naszego cierpienia, to nam ułatwi poznanie naszego błędu. Pierwszem drgnięciem natury cierpiącej jest mimowolny zwrot do siebie. Ręka tam sięga, gdzie boli, i wszystkie władze naszego ducha skupiają się na miejscu odniesio-

nej rany. Tam myśl zatrzymuje się, tam spieszy uczucie i stamtąd nie odchodzi, tam wiruje wciąż imaginacya, przymnażając niepokojem cierpienia. Jakiekolwiek będzie cierpienie, fizyczne czy moralne, szlachetne czy nieszlachetne, rzeczywiste czy urojone (rzeczywistem będzie ono zawsze), można dnie i tygodnie z niem obcować, jemu się przysłuchiwać, z coraz innej przypatrywać się strony, z niem zżyć się i przez nie zżyć się z samym sobą. Rzecz prosta, że taki sposób cierpienia może tylko zaostrzyć naszą miłość osobistą, spotęgować osobistość, i choć się rana zasklepi, wstajemy z łoża boleści pełniejsi siebie niż kiedykolwiek. To też mnóstwo jest ludzi (i wszyscy mniej więcej jesteśmy takimi), których cierpienie nie oczyszcza, owszem bardziej jeszcze mąci, i zamiast zasługi, przyczynia im winy, że zmarnowali najprzedniejszą łaskę, krzyż od Boga zesłany. Pierwszem zadaniem cierpienia jest wyrwać nas

z siebie, my przeciwnie grząźniemy w sobie. Przeciw temu grząźnieniu należałoby wszystkiemi siły oddziaływać; my naodwrót wszystkiemi władzami duszy dopomagamy jemu.

Jakaż na to rada i gdzie lekarstwo? Tam, gdzie lekarstwo na wszystko złe duszy ludzkiej: w Męce Pańskiej. Ona jest nie tylko zapłatą tego, czego my sami zapłacić nie możemy, ale i wzorem, jak spłacać to, co do nas jeszcze należy. Ona jest nie tylko odkupieniem ale i szkołą cierpienia. Nie umiemy cierpieć, bo nie bierzemy za wzór Chrystusa cierpiącego; nie odnosimy z cierpienia pożytku, bo nie łączymy boleści naszej z Męką Jego Przenajświętszą.

Chrystus Pan nie jako Bóg cierpiał, ale jako człowiek. Co pierwszy Adam zepsuł, to drugi Adam miał naprawić, ale zasługa tego człowieka musiała być przez Boską osobę podniesiona w nieskończoność, aby zmazać nieskończoną obrazę Boską. W całym ciągu męki, Chrystus Pan dawał

dowody swego człowieczeństwa, lecz najwidoczniej uderza ono w pierwszem zaraz spotkaniu z cierpieniem, w krwawej modlitwie w Ogrojcu. Byli ludzie, i niemało ich było za pogańskich i chrześciańskich czasów, co szli spokojnie i odważnie na okrutne męki i śmierć, i żadna słabość zewnętrzna nie zdradziła tego, co się w duszy ich działo. Chrystus przeciwnie tęsknił i smucił się w sobie, pełen niepokoju, to szukał samotności, to znów powracał do Apostołów, padał na twarz, jęczał i aż krwią się pocił, wołając w strasznym ducha ucisku: »Ojcze, jeżeli to może być, odsuń ten kielich odemnie«. On przypuścił trwogę do swej duszy, On drżał przed męką i śmiercią. I dlaczegoż to uczynił? dlaczego On, Pan życia i śmierci, Pan wszego stworzenia, chciał okazać się w tej, tak powszechnej u nas wszystkich słabości, którą przecież wyjątkowi ludzie stłumić w sobie potrafili? Bo jeśli o tamtych nie można było wąt-

pić, że byli ludźmi, to o Nim, łatwo mogła była nasunąć się myśl, że jako Bóg nie cierpiał wcale, i znaleźli się w istocie heretycy, którzy tak utrzymywali.

A wtedy, o ileż wątlejszą byłaby wiara nasza w dogmat Odkupienia przez Boga-Człowieka, i — co niemniej ważne, — o ileż słabszą nasza miłość i wdzięczność dla Niego, o ileż mniejszą nasza ufność i nasza śmiałość do Niego? On się dlatego takim nam objawił, abyśmy widząc Go w przerażającem opuszczeniu, dobrze zrozumieli i mocno wierzyli, że to nasz brat, że to jeden z nas. Jakże nie kochać tego, który tak cierpiał jak my i więcej niż my, jakże nie ufać temu, który przeszedł przez to wszystko, przez co my przejść możemy?

Lecz pokazawszy nam słabość swoją, albo raczej naszą, pokazał zarazem, jak się z niej wydźwignąć: »Ojcze, rzekł On, jeżeli to może być, usuń ten kielich odemnie; wszakże,

niechaj nie moja, ale Twoja stanie się wola!« Jako Chrystus Pan przygnieciony boleścią szukał ratunku u Ojca, tak i my powinniśmy wyznać Mu w pokorze niemoc i wstręt do cierpienia, prosić go, aby nasze bole uśmierzał, wszystkiemi władzami kierował; powinniśmy przez pokorę i ufność stanąć przy Chrystusie cierpiącym. Oto Pan Jezus daje nam wzór. Jako lekarz dobrotliwy staje On nad łożem chorego dziecięcia, i pierwszy spełnia kielich pełen gorzkości, aby nas dzieci swoje zachęcić, aby nas przekonać, że to nie tak trudne, bylebyśmy w Niego chcieli się wpatrywać. Jeżeli On pił, czemuż my nie mielibyśmy pić? I wtedy na wzór Jego powiemy: »Ojcze, prawda jest, ja nie jestem zdolny do cierpienia, ale wiem, żeś Ty jest dobry, że mnie kochasz, a ponieważ od Ciebie ten krzyż, więc pragnę go przyjąć dla Twojej miłości, bo z ręki Twojej wszystko jest dobre! Ojcze, niechaj nie moja, lecz

Twoja stanie się wola! A jakoś Synowi Twemu dał moc do spełnienia najboleśniejszego kielicha, tak ufam, że i mnie nie opuścisz, że i mnie choć niegodnemu przyjdzie moc od Ciebie!«

A jakaż to wśród cierpień pociecha i ulga, kiedy pomyślim, że ten, który jest Panem naszym, już to wszystko odcierpiał, że niemasz smutku, trudu i walki, którychby pierwej nie poniósł za nas. Jeżeli płaczę nad stratą drogich mi osób, to i On płakał nad grobem Łazarza; jeżeli dręczy mnie myśl o Ojczyźnie, to i Jemu wyciskał łzy widok nieszczęść grożących Jerozolimie; jeżeli trwożę się niebezpieczeństwami, to czemże moje obawy wobec krwawej trwogi Jego; jeżeli jęczę w dolegliwościach ciała, w ucisku i oschłościach ducha, to czemże ten ucisk i te dolegliwości wobec mąk Jego i opuszczenia na Krzyżu? Wszystko On wprzódy przyjął za nas i przebolał, aby to wszystko podnieść

i uświęcić, aby nam tutaj ująć goryczy, a przed Ojcem przydać zasługi, aby ziemską wędrówkę ułatwić, a do nieba utorować drogę. Zawsze i wszędzie, od żłobku aż do krzyża, woła On na nas, abyśmy się z Nim łączyli; na tej drodze naszego żywota, przez którą przeszedł z taką chwałą, On nam podaje rękę i ojca i brata. Więc jak z Chrystusem tylko można dobrze wierzyć i żyć, tak z Nim tylko razem można dobrze cierpieć, a po cierpieniach jako po szczeblach idąc wciąż w górę, wejść do Ojczyzny niebieskiej.

II.

Chrystus Pan w Ogrojcu.

Kiedy po skończonej Wieczerzy, Chrystus Pan wchodził do ogrodu Getsemani, aby przez modlitwę przygotować się na śmierć, rzekł do towarzyszących mu Apostołów: *Czuwajcie i módlcie się, abyście nie weszli w pokuszenie.* Wiedział On, że jeżeli dla Niego zbliża się straszna godzina, to większe poniekąd niebezpieczeństwo grozi Jego uczniom ukochanym; że zdziwieni a nawet zgorszeni Jego słabością, wpadną w trwogę, rozbiegną się, zapomną o Mistrzu, gotowi wyrzec się Go, by

siebie ratować. Po trzech latach pracy i czuwania nad nimi, po raz pierwszy wystawiał ich wierność na próbę, i chciał przed tą próbą dać im przestrogę, jak bronić się od zewnętrznej napaści złego, które wtedy dopiero staje się rzeczywiście groźne, kiedy z niem spółdziała nasza własna, wewnętrzna słabość. To ostatnie, uroczyste upomnienie i im, i nam chciał zostawić. Bo ów wielki dramat, jak Prawda bywa od swoich opuszczona i w ręce nieprzyjaciół wydana, powtarza się bez przerwy we wszystkich epokach i u wszystkich ludzi, tak dobrze na głośnej scenie świata, jak w cichym domku naszego ducha. Niema dnia, w którymby Pan Jezus, w sercu naszem, w tym ogrodzie, w którym lubi przebywać, nie doznawał zaprzeczenia; żąda po nas, byśmy przy Nim stanęli, jak na sługi i przyjaciół przystało, a my bezdusznie lenim się i Jego na sztych wystawiamy. Jak więc dla Apostołów tak i dla nas

było to słowo konieczne, i słuszna, abyśmy je wzięli za przedmiot do rozpamiętywania.

Miły nasz Zbawiciel ostrzega, abyśmy nie weszli w pokusę. Cóż to jest pokusa, jak się rodzi, jakie potomstwo wydaje? Najgłębszą i najzwięźlejszą teoryą pokus daje św. Jakób w swym liście powszechnym (I, 14, 15): *Unusquisque tentatur a concupiscentia sua, abstractus et illectus; deinde concupiscentia cum conceperit parit peccatum, peccatum vero cum consummatum fuerit, generat mortem.* Każdy kuszony bywa od swojej pożądliwości, roztargniony i przynęcony; zaczem pożądliwość, skoro jest przyjęta, rodzi grzech, a spełniony grzech zadaje śmierć«. — W tych słowach jest wszystko, trzeba je tylko dobrze przeniknąć.

W każdym z ludzi są skłonności, które ciągną do złego, bądź z grzechu pierworodnego i po przodkach odziedziczone, bądź własnemi upad-

kami nabyte i wzmocnione. Zła skłonność rozbudzona rzuca się pędem na wolę, która jest panią w naszym domku, i żąda natarczywie, aby przyzwoliła. To jest poruszenie naturalne, zwierzęce; zwierzęta nie mają siły oprzeć się swej pożądliwości; ich pożądliwość a wola jest jedno. Ale Bóg dał człowiekowi rozum, ten zasadami wiary wzmocniony, ostrzega wolę, że to, co pożądliwość doradza, jest złem i że tego czynić nie godzi się. Jeśli wola jest szczera i nie nadwątlona częstemi w tym rodzaju upadkami, wtedy przyjmuje to ostrzeżenie, odpycha pokusę i zwycięztwo przy nas zostaje.

Ale zdarza się, że nasz rozum zapada w ciemności, nie widzi, albo nie poznaje nieprzyjaciela, nie ostrzega woli o nadchodzącej pokusie. Takie ciemności rozumu św. Jakób nazywa dystrakcyą, roztargnieniem, nieczuwaniem. Nieczujność jest grzeszną, kiedy dobrowolna; rozum nieczujny jest jak żołnierz, który podczas wojny

śpi na warcie; pokusa czyha na tego rodzaju opuszczenie się, aby napaść znienacka i porwać nas z sobą. Bywają też dystrakcye nie tylko dobrowolne, ale zdradzieckie: w nich rozum udaje, że śpi i przymruża oczy, aby nie dostrzedz nieprzyjaciela, albo wbrew wewnętrznemu głosowi wmawia, że to nie jest nieprzyjaciel; wtedy wola z góry na złe zdecydowana, bierze pierwszy lepszy pozór, aby grzech, który pełni, usprawiedliwić. Lecz i mimowolne dystrakcye mogą nie być bez winy, jeśli wola oswoiwszy się z jakimś upadkiem mniejszym lub większym, naprzód uciszy rozum, a potem całkiem go zaślepi, i wtedy pożądliwość, zaledwo się zjawi, zaraz i bez żadnej walki, człowieka porywa. Zdarza się, że tego rodzaju dystrakcye trwają całe lata, mogą trwać i całe życie, i człowiek przychodzi do tego, że pełni złe, nie zdając sobie sprawy, że to złe. Jest to ciężkie kalectwo, do którego nawykamy, a które przecież jest

wielką przeszkodą dla zdrowia duszy. I dopiero przed samą śmiercią, kiedy dusza stanąwszy w progu wieczności, odbiera jako ostatnią łaskę, z tamtego świata, blask prawdy niczem niezmąconej i ten blask oświeci naraz całe jej życie i najgłębsze zakątki sumienia, dopiero wtedy widzi ona z przerażeniem, jak bardzo jest chorą, jak ciężko i ciężko błądziła i jak dalece, za tę swoją nieuwagę albo niewiadomość, odpowiedzieć musi. Niema podobno nikogo, coby nie ulegał niebezpieczeństwu takiej mimowolnej, a jednak winowajczej dystrakcyi; coby mógł z całą pewnością o sobie powiedzieć, że nie wpadł, pod tym lub innym względem, w jakieś zaciemnienie rozumu, że nie dał się usidlić przez niedbalstwo pokusie, że się nie oswoił z nią, że ona mu nie stała się drugą naturą, jakby organem życia. Psalmista woła: *Delicta quis intelligit? Ab occultis meis munda me.* (Psalm XVIII, 3)

»Któż zna swoje uchybienia? Od ukrytych wyzwól mnie Panie!«

»Ale skoro tak straszne są te pokusy — pomyśli kto — to pocóż one są? Ja nie chcę P. Boga obrażać, jabym sam nic złego nie zrobił; gdyby nie pokusy, byłbym bez grzechu, byłbym świętym! Nieznośne, uprzykrzone pokusy, jak muchy na gorącu, opędzić się od nich nie można«.

Bez pokus, odpowiem, bylibyśmy może bez grzechu jak to drzewo, ale świętymi nie bylibyśmy nigdy. Pokusa jest wielkiem dobrodziejstwem, tylko trzeba je znać i umieć z niego korzystać. Ona jest popchnięciem do złego, ale przez reakcyą prowadzi do świętości. Ona jest przeczeniem, i jak wszelkie przeczenie służy do zatwierdzenia prawdy i dobrego. Ona jest początkiem cierpienia i podobnie jak cierpienie wchodzi w ekonomią naszego zbawienia.

Pokusa przywodzi nas do poznania siebie samych, odkrywa nasze

zepsucie, naszą skłonność do złego. Weźmy parę przykładów: »Zdaje mi się, że ja życzę każdemu dobrze, a przynajmniej, że nie jestem zazdrosny. Zazdrość to tak podła rzecz; ktoby był zazdrosny!« Ale nie wiedzie mi się w pracy i nie darzy w stosunku z ludźmi; to mnie smuci. Tymczasem, mój towarzysz daleko szczęśliwszy odemnie, z zadania swego dobrze się wywiązuje, i przełożeni i koledzy radzi z niego. Mimowolnie wciska się do mnie jakaś złostka, wolałbym, żeby go mniej chwalono, nie tak głośno, nie w mojej obecności. Niemiło mi to słyszeć, niemiło patrzeć na niego, i możebym chciał, aby i jemu też czasem się nie powiodło, aby poznał jak to przykro... Ot i zazdrość, którą dopiero co potępiałem! — Albo znowu: »Zdaje mi się, że kocham wolę Bożą i przełożonych, których mi Bóg dał; przynajmniej nieposłusznym stanowczo być nie chcę«. Tylko, co prawda, czasem przychodzi od nich roz-

kaz bardzo nie na rękę. Ja chciałbym zabawić się, albo mam inne pilne zajęcia, które muszę skończyć! I zaraz jakaś mgła zasępia duszę, powstaje cichy szmer, gniew i nareszcie zaczynam w mojej duszy kłócić się na dobre z przełożonymi. Ot, gdzie się podziało moje posłuszeństwo! — Albo innego rodzaju przykład. Znajdują się ludzie tak szczęśliwie usposobieni, że mają wrodzoną łatwość do dobrego: spokojni, łagodni, nic ich nic kosztuje praca, ofiarność, posłuszeństwo; ale to wszystko w kolei, po której chodzić nawykli, w którą wdrożyła się ich osobistość. Niechże ich tam coś potrąci i odsunie choćby na cal od ubitej ścieżki; jaki zaraz niepokój, jak się wszystko zamąci, rzekłbyś, że wszystkie zachwiały się cnoty! — Pokusa to wykazała i dzięki jej za to. Ona nas sprowadza na dno naszego jestestwa, oczyszcza nas z zarozumienia, zmusza do pokory przed Bogiem.

Bywa to, że dusze wobec własnego stawione zepsucia, którego nie przypuszczały, wyrwane z tej błogości wewnętrznej, w której tak się lubujemy, smucą się, trwożą, czują się jakby odarte z sukni niewinności, odepchnięte od Boga, pozbawione wszelkiej łaski. Błąd to zwyczajny, i wiele zależy na tem, aby w takich chwilach zdać sobie sprawę ze stanu swej duszy. Ten zamęt, to zachwianie się, te niesmaki wewnętrzne i ciemności, to jeszcze nie upadek, to dopiero walka, to nie grzech, i owszem, to sposobność odpędzenia grzechu; to nie utrata łaski, lecz przeciwnie możność zyskania zasługi. Im mocniej, im wierniej, mimo wewnętrznego zamięszania odpychamy do złego pokusę, tem bardziej utwierdzamy się w dobrem, i dopiero przez ponawiane w ten sposób napady, walki i zwycięzkie odparcia, utrwalamy, zabezpieczamy w duszy naszej cnoty, czynimy je naszym własnym zarobkiem. Młody żołnierz, choć marzy

o tryumfach, na pierwszy strzał nieprzyjaciela gotów pierzchnąć; stary i doświadczony wie o tem, że bez kurzawy i bez znoju nie może być walki, ani bez walki zwycięstwa. Pokusa to właśnie znak dany do boju, to droga do nagrody, i to jest wtóre jej błogosławieństwo. *Nemo coronabitur nisi legitime certaverit;* nikt korony zwycięskiej nie otrzyma, dopóki sumiennie nie walczył.

Pokusa *przynęca*, mówi św. Jakób, a wiadomo jak potężną bywa ta przynęta. Zanim uderzy, robimy postanowienia, aby nie zezwalać, tymczasem zezwalamy. Już starzy poganie mawiali: *Video meliora proboque, deteriora sequor;* widzę co lepsze i pochwalam, a idę za gorszem. Więc jak pierwej odkrywaliśmy nasze złe, tak teraz odkrywamy niemoc naszą, by się od złego obronić. I to jest trzecie dobrodziejstwo pokusy: głębokie, radykalne upokorzenie się, zwątpienie o sobie: stąd konieczny zwrot do Pana, dawcy wszel-

kiej łaski o pomoc, o miłosierdzie, o siłę przeciw nam samym! *Vigilate et orate*, upomina Zbawiciel. — Czuwajcie i módlcie się. — Zatem modlitwa to ostateczny i najwyższy ratunek i dla rozumu, który gaśnie, i dla woli, która wątleje: w niej i mądrość nasza i nauka, w niej odwaga i siła. Bo wola ludzka zbyt słaba sama z siebie, nie poradzi nic w rzeczach zbawienia bez pomocy łaski Bożej, a tę pomoc jedynie modlitwa wyjednać nam może. Na polu bitwy nieraz łatwiejsza jest odwaga, niż na polu serca naszego, na polu nadprzyrodzonem; a jeśli zaszczytem jest dla żołnierza umrzeć odważnie, to zaszczytem daleko trudniejszym, ale i obowiązkiem jest dla chrześcianina umierać sobie wciąż, wytrwale. Tu bez modlitwy walka całkiem staje nam się niepodobną, nietylko, aby ją skończyć zwycięsko, ale nawet, by ją zacząć. Dlatego najsilniejszem dążeniem złego ducha jest odwieść człowieka od modlitwy:

w ten sposób pewny on jest, że go oszuka, że go pobije; samo bowiem opuszczenie się w modlitwie jest już zwycięstwem pokusy. Dlatego to Chrystus Pan nie przestaje na tem, że nam czujność zaleca, ale przydaje rozkaz, abyśmy się modlili, i dopiero przy tych dwóch z naszej strony spełnionych warunkach, zapewnia zwycięstwo nad duchem-kusicielem.

Tak więc, poznanie naszego zepsucia, zrozumienie konieczności walczenia z niem, przeświadczenie o swej niemocy w tego rodzaju walce, wreszcie pobudka do modlitwy, — oto jakie są, a przynajmniej jakie powinny być następstwa pokusy. Czyż pokusa, w ten sposób zrozumiana i przyjęta, nie jest naszą dobrodziejką, warunkiem naszego życia duchowego, postępu w dobrem, uświęcenia i zbawienia? Jakżeby życie chrześcianina mogło się obejść bez pokus? To też Chrystus Pan nie mówi: *Czuwajcie i módlcie się, abyście nie byli kuszeni,* to jest, aby pokusa nie we-

szła w was, tylko mówi: *abyście nie weszli w pokusę, ut non intretis in tentationem.* Bo zważmy, że jest wielka różnica między wejściem pokusy w nas, a wejściem naszem w pokusę. Pierwsze jest wyzwaniem nas przez szatana, drugie poddaniem się jemu; pierwsze zaczęciem boju, drugie przegraną, i od tej ostatniej chce nas Chrystus Pan zasłonić, ale nie od pokus. Nikt nad siły swoje kuszony nie jest, to jest dogmat wiary katolickiej; każdy ma łaskę dostateczną do ich zwyciężenia, a skoro tak jest, więc w tych warunkach, pokusa i pożyteczną nam jest i konieczną i zbawienną.

Znanym jest przykład św. Pawła. Porwany do nieba w zachwycie, gdzie usłyszał tajemnicze słowa, których człowiekowi powtarzać nie wolno, chociaż na Apostoła pogan był od Chrystusa Pana wybrany i więcej niż ktokolwiek wypróbowany przeciwnośćciami, nie był jednak bez pokus. I by go wielkość objawień, ja-

kie mu były z góry dane, nie uniosła w pychę, dodane mu były najzwyczajniejsze, najbardziej upokarzające pokusy zmysłowe. »Trzy razy, mówi on, wołałem do Pana, by mnie od nich uwolnił, lecz usłyszałem odpowiedź: Wystarczy ci łaska moja, gdyż cnota umacnia się w słabości«. Więc i najczystsza modlitwa przy najświętobliwszem życiu, może nie uwolnić od pokus. I dlaczegoż Pan tak czyni? Bo tego dobro nasze wymaga, bo one są konieczne. Kiedy Bóg nie chce nas od razu oczyścić z jakiejś niedoskonałości, to dla tego, aby nas później tem lepiej oczyścić, a tymczasem, aby nas zagłębić, zakorzenić w pokorze, która jest matką cnót wszelkich. Łaska moja, mówi Pan, wystarczy ci, aby cię ustrzedz od grzechu; nie lękaj się przeto: a tymczasem niemoc twoja i przeświadczenie, żeś zawsze skłonny do złego, utrzyma cię w niskiem o sobie rozumieniu, zmusi do czujności

i do modlitwy, w czem leży twoje zbawienie.

„*Vigilate et orate* — Czuwajcie i módlcie się!« Znałem kiedyś młodego człowieka, który w dzieciństwie religijnie wychowany, pod wpływem książek i wykładów na pół protestanckich, jeśli nie stracił wiary zupełnie, to przynajmniej zachwiał się w niej i mawiał nieraz z goryczą o Kościele. Słuchający go człowiek starszy rzekł do niego: Wiele masz lat? — Dwadzieścia kilka. — Nim dojdziesz do trzydziestu, nawrócisz się. — Dlaczego? — Bo się przekonasz, że z żadnej wady nie potrafisz się uleczyć bez pomocy religijnej. Mógł był dodać: nie poznasz jej w sobie, a przynajmniej nie przestaniesz jej usprawiedliwiać. — Modlitwa podnosząc nas do Boga, stawia nasz rozum przed światło Boże, a naszą wolę przed miłość Bożą: ona więc przynosi nam i prawdę dla rozumu i siłę dla woli. W niej przeto mamy środek i poznać sie-

bie, i osądzić, i zwyciężyć. — A czem to się dzieje, że modlitwy nasze nie przynoszą nam tych korzyści? Godzi się wejść w bliższy rozbiór, jakie są dobrej modlitwy przeszkody.

Najpospolitszą przeszkodą w modlitwie bywają roztargnienia. Są one różne i wiele ich jest przyczyn. Modlitwa jest rozmową z istotą wyższą, obecną, która nas słucha; trudno mówić do osoby, o której istnieniu albo obecności nie jesteśmy doskonale przekonani; pierwszą więc przyczyną roztargnień musi być *niedostatek wiary*. Nie mówię o zupełnej niewiarze; ale może być wiara słaba, chwiejąca się, spotykająca się niekiedy z cichemi w duszy wątpliwościami; nie jestto wiara jak raczej opinia powzięta z książek lub słuchania, niepewna siebie, czasem wstydliwa, gotowa ukryć się, a nawet ustąpić przed jakąś silniejszą, głośniejszą opinią, a choćby tylko przed płochym żartem lub uśmiechem. Taka wiara, jak nie może star-

czyć za regułę życia, tak nie może nam służyć za podstawę i warunek dobrej modlitwy. Wiara jest stokroć mędrszą od wszystkich ludzkich mądrości, stokroć silniejszą od wszystkich napadów gwałtu lub szyderstwa, i choćby mi stu, niewiem jak uczonych ludzi, prawiło, że Boga niema, choćbym nie znajdował w mym umyśle argumentów na ich wywody, jest jednak we mnie głos, co im zawsze powie, że ich mądrość jest głupstwem, że oni są ślepi i nieszczęśliwi, że jest Bóg, który mnie stworzył i odkupił, który mnie kocha i chce mojego zbawienia, gotów wysłuchać mnie, jeśli Go prosić będę, a jeżeli nie chcę prosić i oni nie chcą, to mnie i ich sądzić będzie i na wieki potępi. Z taką wiarą, z której się rodzi i ufność zarazem, z tem żywem poczuciem obecności Bożej, należy przystępować do modlitwy; a kiedy tego nie mamy, należy upokorzyć się przed Panem, przedstawić Mu swoje kalectwo, przy-

pomnieć Mu słowa, które rzekł do niego trędowaty: »Panie, jeśli chcesz, możesz mnie oczyścić«, przypomnieć mu słowa, które rzekł do Niego uczeń: »Panie, przymnóż nam wiary!« ponawiać tę prośbę wytrwale, a już to będzie dobrą i skuteczną modlitwą.

Wszakże choć mamy wiarę, możemy jeszcze nie mieć chęci do modlitwy, i rzecz prosta, że to musi być także powodem do roztargnień. Aby coś robić dobrze, trzeba przedewszystkiem chcieć, trzeba wszystkie władze swojej duszy zwrócić ku przedmiotowi, którym się zajmujemy. Otóż, czy mamy szczerą chęć modlitwy? Zapewne, kiedy jesteśmy zagrożeni w tem, co nas zbliska dotyczy, n. p. w naszem zdrowiu, majątku, życiu drogich nam osób — o, wtedy modlimy się uważnie, z namysłem, z intencyą. Ale kiedy idzie nie o rzeczy doczesne, lecz o dobra wyższego rzędu, wtedy nas opanowuje dziwna niemoc i czczość we-

wnętrzna, wtedy po prostu nie mamy o co się modlić i wtedy roztargnień musi być bez liku. »Modlitwa (szepce nam coś zcicha) ma służyć do walki z sobą, ale to zbyt męczące; wolę o tem nie myśleć. Prawda, że mam wady, lecz któż ich niema, przecież i z niemi żyć można; jać świętym zostać nie mam pretensyi, a męczennikiem być nie chcę. Ciepło mi i wygodnie, więc byleby dzień przeszedł bez troski i ile można zabawnie, o resztę mniejsza!« Wątpię, by kto chciał przyznać się głośno do tego rodzaju uczuć; takie to niskie i podłe. A jednak zaprzeczyć się nieda, że głos to dzisiejszej epoki, że w świecie dzisiejszym, w wielkich zwłaszcza stolicach, panuje powszechnie tego rodzaju usposobienie, które tylko chwilową doczesną wygodę kładzie za cel swoich dążeń; że wieją prądy tak duszne, cuchnące i ogłupiające, jakby ten świat coraz bardziej stawał się bydląt mieszkaniem. Bądźmy pewni, że Bóg potrafi

tę zgniłą atmosferę rozpędzić, jedna burza wystarczy na to. A jeżeli i nam z tych odorów coś się dostało, dość spojrzeć na krzyż Zbawiciela, aby się z nich otrząsnąć! Przecież my wiemy, że Bóg tchnął w człowieka tchnienie swoje, ale nie na to, aby on przestawał na roli tuczonego zwierzątka. Przecież my mamy na sobie dostojne znamię chrześcianina; więc walczyć musimy i cierpieć za życia, aby po śmierci być w chwale z Chrystusem. Przytem, jesteśmy Polakami, a jeżeli to krzyżem jest dzisiaj, to i niemałym zaszczytem; każdy z nas podwójnie przeznaczony jest do cierpienia, rodzi się z obowiązkiem ofiary i służby dla Kościoła i Ojczyzny. Otóż, ani jako Polacy, ani jako chrześcianie, ani jako ludzie z duszą nieśmiertelną, nie będziemy mogli podołać naszym obowiązkom, lub choćby je tylko zrozumieć, nie będziemy mogli usunąć przeszkód z zewnątrz, i tych daleko upartszych, które są wewnątrz

nas, bez pokornej, gorącej, wytrwałej i ufnej modlitwy, która jak z miłości wypływa i miłość sobie zdobywa, tak wszystkiego spodziewa się po miłości Zbawiciela.

Jest jeszcze inne źródło roztargnień, daleko pospolitsze i o którem szerzej pomówić musimy; niem jest przewaga wyobraźni i płynący ztąd nieporządek myślenia. To źródło wszystkich nas podobno swą obfitością zalewa. Wyobraźnia jest władzą przeznaczoną do stworzenia i rozszerzania myśli, do nadawania im świeżości, kolorytu, życia, plastyki, do szybkiego łączenia, obejmowania przedmiotów miejscem lub czasem rozdzielonych. Czem jest wyobraźnia, najlepiej poznać po snach: ponieważ ona nie zna praw rzeczywistości, więc nie ma dziwów, któreby nam się we snach nie pokazywały, a które nas wcale nie dziwią, bo rozsądek wtedy śpi. Wyobraźnia jest władzą szacowną; człowiek jej pozbawiony jest suchy jak drewno, nudny, ciężki. Wy-

obraźnia jest rumakiem, który nam doskonale służy, ale koń to lotny, niebezpieczny, łatwo jeźdźca unosi. Trzeba, aby rozum dobrze dosiadł tego rumaka, aby on szedł tam, gdzie rozum każe, a nigdy samopas, nigdy bez cugli. Inaczej porwie nas na cztery wiatry.

Jak życie nasze ma swój cel, tak każda godzina i minuta każda mieć go powinna: tym celem jest pełnienie naszego obowiązku. Każdej godzinie naszej Bóg jakieś zadanie przeznaczył; do niego winniśmy stosować wszystkie myśli, siły i starania nasze; i wszystkie władze nasze, powinny o tym obowiązku pamiętać, być mu na usługi. Ze sposobu, w jaki przepędziłem moją godzinę, w jaki użyłem władz moich, powinienem zdać sprawę przed sobą, jak zdam ją kiedyś przed Bogiem. Tak być powinno, lecz jakże się dzieje? Biorę książkę do ręki, z której mam się uczyć, lub pióro, którem mam swoje ćwiczenie ułożyć. Tymczasem nasu-

wa się myśl obca, która mi się podoba; w dystrakcyi, to jest bez wiedzy rozumu, zatrzymuję się nad nią. Nadchodzi druga, przeskakuję do niej, potem trzecia, dziesiąta, i już marzę w najlepsze, to jest galopuję na koniku swojej wyobraźni; w ręku trzymam zawsze książkę lub pióro, ale gdzie moja myśl, gdzie rozum, gdzie dusza?... Coś mi dom przypomina, więc się tam przenoszę, oglądam rodziców, rodzeństwo, biegam po wszystkich kątach, wszystko mi znajome, więc miłe, widzę i pieski i kanarki, które tam zostawiłem. Przypomina mi się ten pan albo ta pani, którzy u nas byli, albo myśmy ich odwiedzili. Więc nowa peregrynacya do ich domu, nowe spotkania, rozmowy, wesołe albo smutne przypomnienia. Tak mi lekko i swobodnie skakać po tem wszystkiem, nawet bolesne obrazy mają swój urok w tej powietrznej wędrówce. Z wizyty jadę dalej i już sobie wyobrażam jak tam przyjadę, jak będę ubrany, co po-

wiem, co usłyszę, ile z tego będzie pociechy, wesołości! A tymczasem trzymam wciąż książkę albo pióro w ręku, a tymczasem godzina upływa, godzina niepowrotnie stracona, za którą kiedyś odpowiem...

Innym razem jestem na przechadzce i powinienem się zabawić; takie tej chwili jest zadanie. Spostrzegam osobę, od której wczoraj coś nieprzyjemnego usłyszałem; wnet mi słowo to powraca, lecz zamiast spędzić je z myśli, rozważam je na nowo, coś jej w duszy odpowiadam, ona mi także niby odpowie, spieram się, gniewam, czynię różne przypuszczenia, które mnie drażnią, usposabiają nieżyczliwie — a w tem wszystkiem niema cienia rzerzywistości. Imaginacya porwała moje zadraśnięte uczucie i dalejże z niem w taniec marzeń!

Innym razem kładę się spać, a wtem przypominają mi się gwałty i uciski, jakich wiara nasza doznaje na Litwie i Rusi. Wiem, że księdza z mojej parafii wywieziono na Sybir. Widzę, jak

go wrzucono do kibitki, jadę za nim, rozumie się na koniku mojej fantazyi. W ciągu drogi staram się zbliżyć do niego, usłużyć mu ukradkiem, pocieszam go. Robię przedziwne kombinacye, narażam się na niebezpieczeństwa, doznaję różnych wzruszeń. Cieszę się, podziwiam siebie, że tak wiele zrobiłem; godzina po godzinie upływa na tej męczącej wycieczce, a ja tymczasem powinienem był spać, bo takie było tej godziny przeznaczenie.

Jakaż to niedorzeczność! Ile straty czasu, zużycia sił, wykrzywienia władz naszych! A czy tak się nie dzieje? Większa część ludzi choruje na podobne marzycielstwo, zwłaszcza też między Polakami, w których imaginacya żywa, a uczucie lub ambicya podsyca ją zdradliwie. Bywają ludzie, i sam znałem takich, którzy ubrać się nie mogą bez podobnych snów na jawie. Wdzieje pół sukni, zatrzyma się i marzy, i czas mu płynie na myśleniu o niebieskich migdałach. Rozstrojony umysł tak nawyka do ma-

rzeń, że one zawładną jego istotą, jakby mgłą otoczą jego rozsądek, tak że w każdym planie i działaniu jego będzie coś mglistego, rzeczy niebywałe, nieujętne, nieschodzące się z sobą. Już później, tylko w tych marzeniach będzie mu dobrze, tylko one mu będą prawdą. Dziwimy się, skąd tyle u nas dziwaków, dlaczego my jesteśmy tacy niespojni, tacy niezdarni do zbiorowego działania. Oto jedna z głównych przyczyn, bo jakże zlepić to, co niema rzeczywistości, co się wciąż rozpryskuje w widziadłach?

Że my Polacy doprawdy w marzeniach żyjemy bardzo często, to, aby się o tem przekonać, dość spojrzeć na nasze gospodarstwo domowe, na nasz stan majątkowy. Marząc, układamy nasz budżet, a że w marzeniu wszystko różowo się snuje, więc nowe wciąż odkrywamy źródła dochodów, a wydatki schodzą do niedostrzeżonej małości. Nastaje chwila przebudzenia: kłopoty, długi, niesłowności, utrata majątku, a dobrze, jeśli na tem się

skończy, jeśli z tego nie wyrośnie gruba nieuczciwość. Że my Polacy doprawdy w marzeniach zbyt często żyjemy, to nas o tem nasza historya od pół wieku i więcej może przekonać. Czem są nasze konspiracye i powstania, jeśli nie snem na jawie, zapomnieniem rzeczywistości, odbieżeniem obowiązku. Kadry, pułki i baterye, broń, amunicya i skarb, żołnierze, oficerowie i wodze, wszystko jak we śnie układa się cudownie, nic i nigdy nie zawodzi, więc niezawodne i zwycięstwa. W marzeniach drobnieje i znika nieprzyjaciel, podobnie jak wydatki w budżecie marzyciela. Aż z chwilą obudzenia powraca straszna rzeczywistość: krew, więzienia, Sybir, tułactwo, konfiskaty i nędza, srogie tępienie wiary i języka, grom po gromie spada na kraj, a w nas samych za karę wybujałych rojeń, nastaje sromotny upadek ducha i upadek godności narodowej!...

I w życiu zbiorowem i w życiu pojedynczem niewolno jest odbiegać

od rzeczywistości. Odbieżona rzeczywistość mści się później srogo. A bodajby kara kończyła się na tej ziemi. Lecz nie, odpowiedzialność sięga dalej. Bo tem marzycielstwem zaciągamy ciężki dług na dusze. Bo ten czas, który mamy, okupiony jest Krwią Zbawiciela i tylko przez Nią zarabiamy na wieczność: kto czas swój lekceważy, lekceważy Krew Zbawiciela. Bo powiedziano jest, że z każdego słowa próżnego mamy zdać rachunek, a myśl to słowo ducha; ile marzeń, tyle słów próżnych. Bo powiedziano jest, że każdego talentu mamy użyć stosownie do jego przeznaczenia, oddać go na procent dla Pana; a my władze nasze marnujemy, wywracamy w nich porządek Boży, rozwielmożniamy imaginacyą, zabijamy nasz rozum. Doświadczenie przekonywa, że ci, co marzą, w dziwne i trudne nieraz wpadają w swej duszy zawikłania, albo też chodzą na pół przytomni, jakby po zażyciu opium. Więc takie marzycielstwo

wręcz jest przeciwne woli Bożej, grzechem jest i grzechem być może śmiertelnym. Rzadki, kto się na tem spostrzega, jeszcze rzadszy, co się z tem w sumieniu swojem rachuje.

Łatwo zrozumieć, jaka może być modlitwa człowieka, który nawykł dać się w ten sposób unosić swej fantazyi. Uważmy bowiem, że w takich wycieczkach imaginacyi, rzadko jesteśmy sami, może nigdy. Szatan czycha na nią, podsuwa jej coraz zabawniejsze przedmioty, by ją odwieść od Pana Boga. Niekoniecznie brzydkie nastręcza jej myśli, przynajmniej nie od razu, bo teby nas przestraszyły i skłoniły do pokory; przestaje na czczych, bezużytecznych, któremi nie dopuszcza do modlitwy. Tego mu dosyć. Raz i drugi dusza się ocknie, robi wysiłek, chce skupić się, stanąć u stóp Chrystusa Pana, zmówić uważnie choćby jedno *Ojcze nasz*. Ale zawsze ją coś oderwie i dopiero, gdy godzina upłynie, albo Msza się skończy, spostrzega, że

wcale o czem innem myślała. Nareszcie, zgadzamy się na roztargnienia, bo cóż począć? Tłómaczymy sobie, że chcielibyśmy się modlić, ale nie jesteśmy w stanie, że to nie nasza wina, że Bóg odmawia tej łaski, i — nie modlimy się! Potrzebaż ostrzegać, jakie będą i być muszą następstwa zaniedbania modlitwy? Jak strasznie marnieje człowiek na duszy, jakie w nim oziębienie i jak bolesny rozdział z Bogiem, jak zwolna tępieje zmysł moralny i wciska się obojętność o prawa Boże i Kościoła, a w końcu o duszę i wieczność samą!... Rozumie się, że każda pochyłość ma swoje stopnie, więc nie odrazu spadamy na sam dół. Jakiś czas Bóg miłosierny wstrzymuje nas, zachęca do skupienia się, równowagi, upomina naszemi upadkami, przydaje łaski, lecz wolny wybór zostawić musi. I w końcu drzewo tam pada, gdzie się nachyla.

Jakże zaradzić tak opłakanym nieporządkom? Naprzód zrozumieć, że

marzenia są pokusą, na którą oddawna niebacznie zezwalamy, potępić ten grzech, przeprosić Pana i błagać o pomoc. Następnie zebrać się do walki, a będzie długa i uporczywa. Zmusić rozum do czujności, do okiełznania i kierowania fantazyi, do odzyskania należnego mu przodownictwa. Czuwajcie — *Vigilate*. Lecz ta praca na nicby się nie przydała, gdybyśmy czuwali tylko podczas modlitwy. Jak modlitwa uświęca nasze życie, tak i życie prostuje, ułatwia drogę przed modlitwą: jest tu wzajemne oddziaływanie. Wszelki nieporządek, popełniony w ciągu dnia, odzywa się podczas modlitwy i dopóki go nie naprawię wyznając go przed Panem, będzie mi przeszkadzał. Zatem pilnujmy porządku we władzach duszy przez dzień cały. Zapytujmy siebie: o czem ja myślę, co robię, czy jestem tam, gdzie jestem, czy stoję obiema nogami na gruncie rzeczywistości? Nie godzi się nam działać jakby połową istoty,

w stanie półsennym. Już starzy mawiali: *Age, quod agis*, rób, co robisz. Nadewszystko zaś odmawiajmy imaginacyi wszelkich przyjemności, bo na ten lep najłatwiej chwyta nas szatan. Niech ona nie ma w nas swojego, niepodległego życia, niech będzie tem, czem być powinna: władzą poddaną rozumowi, koniem młodym i rzeźkim, ale dobrze ujeżdżonym i prowadzonym pewną ręką. W tem wszystkiem wielka czujność potrzebna i nieraz męczący przyjdzie stoczyć bój. Alež bojowaniem jest żywot człowieka, a Bóg wierny jest tym, co Mu są wierni. Ostrzeżeni strzeżmy naszego rozumu, a jeśli wtedy przyzwiemy pomocy, w każdej trudności znajdziemy Pana tuż przy sobie. — *In tribulatione mea invocavi Dominum... et eripuit me de inimicis meis fortissimis.* — W ucisku przywołałem Pana i wyrwał mnie z pośrodka zaciętych nieprzyjaciół moich. (Ps. XVII. 7, 18).

Chrystus P. poleciwszy Apostołom, aby czuwali i modlili się, iżby nie wejść w pokuszenie, dał zarazem bliższą przyczynę tego rozkazu. Nie ufajcie sobie, nawet gdyście najlepszym ożywieni duchem; to uczucie, które w was jest, prędko się odmieni. Nie wiecie, czem będziecie w złej godzinie; duch bowiem rączy, ale ciało mdłe. *Spiritus enim promptus, caro autem infirma.* Te słowa jasne rzucają światło na naszą naturę wrażliwą i zmienną; wielką, a tak potrzebną naukę nam Chrystus daje o nieufaniu sobie, a ufaniu tylko Jemu.

Do zrozumienia tej przestrogi Zbawiciela posłuży nam życie i charakter Św. Piotra, jak nam je przedstawia Ewangelia, przed jego nawróceniem. Żaden z Apostołów nie kochał tak P. Jezusa jak Piotr. Zaledwo Go poznał i cudownym połowem ryb został doń przyciągniony, wnet porzucił dom swój, rybackie przyrządy, ojca starego i przyłączył się do Chry-

stusa, aby Go więcej nie odstępować. Była to miłość szczera, serdeczna, ale czysto ludzka. Czego Żydzi spodziewali się po Messyaszu, tego i on pragnął dla Chrystusa; potęgi ziemskiej, chwały, tryumfu, powodzenia u ludzi. Kiedy P. Jezus wziął Piotra na górę Tabor i tam okazał się w blasku przemienienia, Piotr nie chciał z góry zstępować, rad byłby zawsze Mistrza swego w tej chwale oglądać. O tem, po co P. Jezus przyszedł na ten świat, on nie myślał. A jednak było w nim coś wyższego od ziemskiej, naturalnej miłości. Bóg dał mu zrozumieć przed innymi, czem był Chrystus. Zapytał Jezus uczniów swoich, kim go być mienią, oni cudze powtarzali zdania, lecz Piotr padłszy na kolana, z żywą wiarą zawołał: »Tyś jest Chrystus, Syn Boga żywego!« »Błogosławionyś Szymonie, bo ciało i krew nie objawiły tobie, ale Ojciec Przedwieczny, który jest w Niebiesiech«. Wszakże pomimo to światło, którem go Bóg obdarzył,

Piotr nie przestał iść za swoją naturą, za swojem sercem miłującem po ludzku. — Przyznajmy, żeśmy podobni do Piotra. Kiedy kogo ukochamy, o co nam chodzi? O to, żeby on szedł po naszej myśli. Czego Pan Bóg chce od niego, nie pytamy; myśmy to już za siebie i za Boga obmyślili, i tak być musi, jak my chcemy. A i w tych nagłych przemianach, w tych przeskokach ze stref i natchnień niebieskich do ziemskiego pełzania, czyż niema między nami a Piotrem podobieństwa? Bo u nas Polaków schwycić myśl w zapale i z nią się związać do czasu, polecieć w sfery heroiczne, pokochać dobro publiczne, jakby własne, i więcej niż własne, dla niego palić swe życie, bez uznania, bez poklasku i owszem mimo prześladowań, to dość częste, jakby naturalne; u nas wznieść się nad pojęcia ogółu, przeczuć Boga i myśl Jego, i tę myśl, jakby bezwiednie, to jest bez wyrachowania i kombinacyi, jedno siłą ducha i łaski

Nieba w życie przeprowadzać, to jeszcze nie nadzwyczajne, to każdy z nas przynajmniej raz jeden w dziejach narodu zobaczył. Ale cóż z tego, kiedy wnet potem, u nas ostygnąć, zwątpić i zapomnieć o tem, co się przed chwilą wyznawało i kochało, odwrócić się od tego, za czem się najgoręcej biegło, zobojętnieć dla swego ideału, zmartwieć, zlodowacieć, i najspokojniej, bez wyrzutu sumienia, prawie bez przyczyny, wrócić do dawnych, lichych nałogów, do dawnej krętaniny, do dawnego błota, to także nic nadzwyczajnego, to także każdy z nas, choćby raz jeden u Polaków widział! — Wkrótce po owem wyznaniu Bóstwa Chrystusowego, które się stało podwaliną władzy Piotra, gdy P. Jezus zapowiedział, że będzie musiał wiele wycierpieć, że Go zabiją i że trzeciego dnia zmartwychwstanie, obudziło się znowu ziemskie, naturalne przywiązanie w Piotrze i wziąwszy Pana na stronę, począł Go jakoby reflektować: »Uchowaj Boże,

aby to się stało, niechaj tak nie będzie!« Twardo zgromił go P. Jezus: »Idź precz Szatanie, zgorszeniem mi jesteś, bo nie rozumiesz tego, co Boże, tylko co ludzkie!« — Nie godzi się nam pominąć bez uwagi tych słów tak surowych Chrystusa P. Jakto, więc można iść za głosem serdecznego uczucia, szczerej życzliwości, chęci zrobienia dobrze, wedle tego, jak się to dobre rozumie, a jednak zrobić rzecz z gruntu złą i tak dalece złą, że w oczach Boga ma ona charakter szatański! Wierzyćby się temu nie chciało, gdyby tego nie mówił Chrystus P. A dlaczego tak? Bo pod wpływem naszego rozumu i naszego uczucia, które sfery doczesnej zwykle nie przechodzą, ciągnieni popędem krwi i własnych rachubek i widoczków, stawiamy się zuchwale i buntowniczo przeciw Bogu samemu, wstrzymując jego świętą Wolę! Przychodzi mi tu na myśl pewna matka nieszczęśliwa, która za nic nie chciała pozwolić dziecku swe-

mu żyć w klasztorze. A gdy ją kapłan ostrzegł, że Sobór trydencki zagroził rodzicom w takim razie klątwą. »Nie dziwi mnie to, odpowiedziała, na tym Soborze żadnej matki nie było«. Że tam był Duch św., o tem nie pomyślała. Jest pewna zarozumiałość serca daleko gorsza, zaciętsza od zarozumiałości rozumu. Bo rozum waży argumenta i jeśli miłością własną uwięziony nie jest, da się przekonać. Ale dla uczucia argumentów niema, dla niego najwyższym argumentem jest, że ono jest; uczucie nic nie słyszy prócz siebie. Dopóki płonie, uważa się za nieomylne, dopiero gdy stygnąć zaczyna, traci w siebie wiarę.

»Dokąd idziesz, Panie«, zapytał Piotr pod koniec ostatniej Wieczerzy. »Gdzie ja idę, ty teraz pójść nie możesz, ale pójdziesz później«. — »Dlaczego nie mam iść teraz; ja życie oddam za Ciebie«. — Rzekł Pan do uczniów: »Wy wszyscy zgorszycie się ze mnie tej nocy. Napisano

jest bowiem: uderzę w pasterza i rozproszą się owce. Ale gdy zmartwychwstanę, wyprzedzę was w Galilei«. Odezwał się Piotr: »Chociażby wszyscy mieli zgorszyć się z Ciebie, ja się nie zgorszę nigdy. Z Tobą gotowem pójść do więzienia i na śmierć. Życie moje oddam za Ciebie«. Po ludzku mówiąc było to słowo szlachetne, świadczące o miłości Piotra, ale w oczach Boga grzeszna to była zarozumiałość, za którą twarda czekała go pokuta. »Życie swoje dasz za mnie! Zaprawdę powiadam ci, Piotrze, nim kur dwa razy zapieje, ty się po trzykroć wyprzesz mnie tej nocy«. Lecz i to słowo nie przekonało Piotra; owszem mówił i powtarzał z zapałem: »Chociażby przyszło umrzeć z Tobą, nie wyprę się Ciebie nigdy!« — Czy ta przepowiednia tycząca się Piotra, koniecznie miała się ziścić? Nie. Wszakże i Niniwa skazana była na zatracenie, ale że mieszkańcy posłuchali wołania Proroka, dał się Pan prze-

błagać. Więc i Piotr upomniony, powinien był rzec: »Tak jest, Panie, jak mówisz, jeśli mnie nie podtrzymasz, z pewnością upadnę«. Nie uczynił tego, szedł naprzód, ufny w swą żarliwość. Prędko miała ona ostygnąć. Kiedy P. Jezus w Ogrojcu, świadom niebezpieczeństwa, które go czekało, wzywał Apostołów, aby czuwali i modlili się, Piotr i tego nie usłuchał. — Piotr usnął. — Wszystko to ściśle logiczne: zarozumiałość, nieprzezorność, bezsilność, a potem, jak zobaczymy, upadek. *Spiritus quidem promptus, caro autem infirma.*

Przykład Piotra nas uczy, że nikt z nas nie wie, do czego jest zdolny i jak nisko upaść może, jeżeli nie czuwa i nie modli się, a im bardziej po wyżynach spina się nasza droga, tem głębsza tuż obok przepaść. Upadek Piotra jest dla nas upomnieniem, ale i Chrystus prócz przestrogi w słowach daje nam z siebie przykład, jak się zasłaniać od tej mdłości ciała; pokazał nam, jak stawiać się wo-

bec nieuchronnego niebezpieczeństwa, chociaż ciało mdłe, jak przezwyciężać tę mdłość naszego ciała. Dlatego przyjął on nasze trwogi, abyśmy tem dokładniej brali z niego wzór. *Debuit per omnia fratribus similari, ut misericors fieret*; musiał we wszystkiem stać się braciom podobny, aby spełnił dzieło miłosierdzia.

Każdy z nas, chcąc spełnić tylko swój obowiązek, przechodzić musi przez różne trudy i walki w swem życiu, i nieraz, aby wytrwać na drodze honoru i prawdy, nieraz aby pozostać wiernym Kościołowi i Ojczyźnie, narazić się trzeba na więzienie albo i na śmierć samą. *Omnes, qui pie volunt vivere in Christo Jesu, persecutionem patientur* (II Tom. 3, 12), mówi Apostoł; wszyscy, co chcą żyć wiernie z Chrystusem P., wytrzymać muszą prześladowanie, mniejsze lub większe, w domu lub od świata, ale nieuchronne. Zapewne, zacnie jest i szlachetnie nie lękać się prześladowania, tylko, że nie każde-

mu dano jest na tej wysokości, jeśli jest ktokolwiek, coby był trwogi wolen zupełnie; ale od każdego wymaga Bóg, aby pomimo obaw, jakie go przejmują, pomimo złego, które mu grozi, spełnił zawsze z całą ścisłością, co prawo Boże, co mu sumienie wskazuje. W tem trudność, i w tem właśnie P. Jezus w pomoc nam przychodzi. Przykładem swoim On mówi do nas, »Chciałem lękać się męki, dlatego, abyście i wy mogli słabość w sobie przewidzieć, nie wstydzić się, nie zasłaniać jej przed sobą, owszem, gdy przyjdzie, być w prawdzie i z pokorą przyznać się do niej przed Bogiem. Jeśli ja mogłem prosić Ojca Niebieskiego, aby odsunął odemnie mój kielich, to i wam to jest wolno. A jak ja błagałem o pokrzepienie i ratunek, tak i wam to czynić należy i wierzyć, że was Ojciec mój wysłucha, bylebyście razem ze mną powiedzieli: Ojcze, niech nie nasza, ale Twoja stanie się wola! A wtedy Ojciec Niebieski da wam,

co wam będzie potrzebniejsze: albo wyzwoli was z niebezpieczeństwa, przestając na waszem poddaniu, albo taką was napełni siłą, że kielich gorzki z radością spełnicie«. Oto do czego z Ogrojca zachęca nas Pan Jezus. Jak z nieba zstąpił On do ludzi, aby za Sobą pociągnąć ludzi do nieba, tak w Ogrojcu raczył przyznać się do naszej lękliwości, aby nas nauczył jak ją zwyciężać, raczył przywdziać na Siebie słabość naszą, abyśmy w moc Jego się oblekli, raczył zejść tak nisko, nad samą granicę grzechu, abyśmy na Nim oparci z tej niskości wydobyć się mogli i dążąc za Nim, dojść aż do świętości, aż do chrześciańskiego bohatyrstwa. Takiej ceny jest dla nas Jego krwawa modlitwa w Ogrojcu. W niej lekarstwo na naszą troskliwość i puklerz od napaści, w niej męstwo nasze i naszych zasług korona, w niej nadzieja nasza, w niej także i przedewszystkiem nieskończony przedmiot dla naszego uwielbienia i wdzięczności:

wdzięczności za Jego miłość, uwielbienia za Jego niepojęte poniżenie.

Kto pewny siebie, własnemi siłami złe do boju wyzywa, ten przed spotkaniem jeszcze, jak Piotr rozbrojony, przegrywa sromotnie; kto przeciwnie upokarza się z Chrystusem przed walką i błaga pomocy, ten razem z Chrystusem staje do walki ufny i spokojny, i cokolwiek go spotka, zawsze zwycięży.

Spiritus promptus, caro autem infirma. Jak szeroki świat pokus, tak szerokie tej prawdy zastosowanie. Słowa Zbawiciela powiedziane były dla całego rodu ludzkiego, ale ta przestroga w sposób szczególny do nas, Polaków, się odnosi. Z umysłem lotnym, jakem już powiedział, z niezwykłym darem przyjmowania wszystkiego co wzniosłe, chwytania myśli Bożych, z wrodzonym pędem do ofiarności, dziwnie przytem w postanowieniach naszych jesteśmy zmienni, niewytrwali, w wykonaniu gnuśni albo lekkomyślni. Duch rączy, ciało

mdłe. Cała historya nasza pełna jest orlich porywów, zakończonych z żółwią ślamazarnością; wszystkie instytucye nasze nosiły piętno nadziemskiej idealności, wykrzywionej potwornie przez sobkostwo, niesforność i próżniactwo. W każdym z nas tażsama krew jeszcze płynie, duch chociaż rączy, pod brzemieniem ciała stęka i ustaje. Zatem więcej, niż ktokolwiek, o tych słowach Chrystusa P. pamiętać winniśmy. Kiedy czujemy w sobie pociąg do zrobienia czego większego dla Boga, wtedy właśnie najmniej ufajmy sobie, uniżmy się przed Bogiem, powiedzmy, że bez Niego nie jesteśmy w stanie zrobić nic, coby się Jemu podobać mogło. Ale z Nim, z Jego łaską wszystko nam podobne: *omnia possum, in eo, qui me confortat*, wszystko mogę w tym, co mnie umacnia, i On to sprawi, że z duchem rączym, ciało choć mdłe, przeszkadzać nam nie będzie.

III.

Chrystus Pan przed Kajfaszem.

Opowiada św. Marek, że gdy przywiedli Jezusa w dom Kajfaszowy, gdzie się wszyscy kapłani i doktorowie zeszli, tedy Najwyżsi kapłani i wszystka Rada, szukali przeciwko Jezusowi świadectwa, aby go na śmierć zdali, a nie znaleźli. Albowiem wielu z nich przeciw Niemu fałszywie świadczyło, lecz świadectwa zgodne nie były. (XIV, 56).

Potwarz, to jest zadawanie bliźniemu takich wad lub wykroczeń, o których wiemy, że nie istnieją, jest tak ohydną rzeczą, że w każdym

człowieku, który cokolwiek ma uczciwości, budzi wstręt głęboki, jak owe fałszywe świadectwa przeciw Jezusowi. Któżby chciał być potwarcą? Różnica między potwarzą a obmową jest ta, że w pierwszym razie sąd o bliźnim jest fałszywy, w drugim prawdziwy, lecz w obu razach niekorzystny. Obmawiając więc bliźniego, jeżeli nie chcemy być potwarcami, musimy być pewni, że to, co mówimy, jest prawdą. Otóż, gdzież ta pewność, jak ją znaleść? »Powiedziano nam, ludzie godni wiary to utrzymywali i my za nimi powtarzamy«. Zapewne i z Żydów wielu tem się usprawiedliwiało skarżąc na Jezusa. Naprzód ludzie godni wiary bardzo rzadko i nigdy bez konieczności nie mówią źle o drugich, a powtóre i oni mogli być w błąd wprowadzeni. Czyż nie wiemy, jak prędko plotka rośnie, z jaką łatwością do kruszyny prawdy mnóstwo wymysłów się przyczepia, a my to wszystko za prawdę podajemy i na

swoję bierzemy odpowiedzialność. Ale powiedzą, »nie mówiono mi, sam widziałem«. Czy pewny jesteś, że dobrze widziałeś, czy wiesz, co ten fakt poprzedziło i jakie jego są przyczyny. Cóż my sądzić możemy? To, co pod zmysły podpada, fakt zewnętrzny. Lecz czyż to wystarcza do ocenienia człowieka, czyż wiemy, co się w sercu jego dzieje? Człowiek nie jest tem, czem się nam wydaje, ale tem, jakim jest wobec Boga. A czyjeż oko to przeniknie? W sądach więc naszych, bezwiednie, możemy być nieprawdziwi, niesprawiedliwi. W zwyczajnej tedy obmowie możemy łatwo, chociaż bezwiednie, dopuścić się potwarzy, do której tak słusznym przejęci jesteśmy wstrętem. Fałszywe świadczenie Żydów u Kajfasza dostarczy nam wątku do zostanowienia się nad najpospolitszą między ludźmi wadą, to jest obmową. Chciałbym przedstawić, jakie tej wady w nas przyczyny, jak ona jest bolesną dla serca Bożego, jakie skutki przynosi

dla nas, dla bliźnich, dla społeczności, wśród której żyjemy.

Skąd się rodzą złe sądy, obmowa? Z pychy. Jesteśmy najpierwsi, najrozumniejsi, najzacniejsi, nam się pierwsze miejsce należy. Tak o sobie trzymali Faryzeusze. Wszelki, któryby chciał nas zaćmić, na którego oczy ludzkie są zwrócone, jest nam niemiły; więc się z nim prędko uprzątamy, ścinamy mu głowę. W tej wysokiej dostojności naszej czynimy się sędziamy wszystkich, przed nasze krzesło sędziowskie przywołujemy z kolei każdego: ten taki, ten owaki, temu tego niedostaje i t. d. i już z nim koniec. A wyrok nasz jest nieomylny; biada temu, który się poważył wątpić o naszej nieomylności, pójdzie zaraz na listę obwinionych — nieodwołalnie. Czyż tu nie słychać głosu tego kusiciela, który uwiódł pierwszych naszych rodziców: *Eritis sicut dii;* Będziecie jako bogowie? Tak jest, ja bogiem jestem, rozumie się dla siebie samego, choćby to bó-

stwo moje nie dalej panowało, jak na tym kawałku ławeczki szkolnej, na której siedzę obok moich kolegów. Ta przyczyna obmowy jest tak obrzydliwa i tak śmieszna zarazem, że dość ją wytknąć, aby dać miarę tego, co się z niej narodzić może.

Drugiem źródłem jest złość, tej wielorakie rodzaje. Naprzód z zemsty. On mnie skrzywdził, czemuż się pomścić nie mogę; on mnie nie oszczędza, czemuż jego mam oszczędzać? — Więc wygaduję na bliźniego, co mi serce podrażnione dyktuje; chcąc drugich przeciw niemu uprzedzić, sam się jeszcze bardziej uprzedzam, zapalam, jątrzę sam siebie. — W całym procesie Chrystusa Pana widzimy ten zapał wzrastający jego przeciwników. — Jeżeli krzywda, na którą się żalę, nie była pierwej w oczach moich całkiem jasną i pewną, teraz gdym go oczernił, stała się dla mnie niewątpliwą; wierzyłem jej napół, teraz wierzę zupełnie; pierwej miałem niechęć do bliźniego,

teraz gdym go obgadał, nienawidzę go, gotowym go rozszarpać, a gdy tego nie mogę, więc przynajmniej dobre imię jego drę w kawałki. I im bardziej obmawiam, tem mocniej nienawidzę, tak że później staje się niepodobnem przeproszenie, przebaczenie. Gdyby to czynił żyd albo poganin, to bym mu powiedział: nikt w sprawie własnej sędzią być nie może, bo nikt nie jest pewny, czyli biorąc odwet, nie przekroczy miary sprawiedliwości i czy w ten sposób nie ściągnie na duszę swoją grzechu cięższego, niżli ten, którego się dopuszczono względem niego. »Do mnie zemsta należy, mówi Pan w Starym Zakonie, mnie ją zostawcie, ja pomszczę się czasu swego«. — Ale, kiedy to czyni chrześcianin, człowiek niby pobożny i chcący Boga miłować, to już zgoła nie rozumiem, jak on miłość Boga może pogodzić ze swą zemstą i obmową? Ileż słów i groźb Chrystusa Pana i Apostołów ostrzega i potępia go! Jeżeli nie od-

puścicie, nie będzie wam odpuszczono! Sąd bez miłosierdzia na tych, co nie czynią miłosierdzia! Jeśliby kto rzekł, że Boga miłuje a brata swego nienawidził, ten kłamcą jest. Miłujcie waszych nieprzyjaciół, módlcie się za waszych prześladowców. Cóż więcej mam przytoczyć? Wszak Apostoł zakazuje nam nawet kłaść się spać z urazą, abyśmy w nocy rozmyślając o niej, nie powiększali jej bardziej i nie przyczyniali sobie trudności w jej przebaczeniu. Boć nietylko przebaczyć, ale dobrem zapłacić nakazuje: *Maledicimur et nos benedicimus.* Złorzeczą nam, a my błogosławimy!

Innym powodem obmowy jest zazdrość. Jest tu pewne pokrewieństwo z pychą, z tą różnicą, że pycha chce się wynosić, zazdrość zaś przestaje na tem, że drugich poniży. Uczucie to niskie, brzydkie i tak podłe, że nikt go wyznać nie śmie, każdy się go wstydzi. Dlatego też zazdrośnik w swojej obmowie nie napada z góry

jak pyszałek, ale kąsa nieznacznie, ukradkiem, aby się nie wydać z tem, że zazdrości. Jestto jakby złodziej domowy, który pilnie uważa, co może ukraść i schować do swego kuferka, iżby go nie postrzeżono. Tak też zazdrośnik śledzi po cichu, w czem może zaszkodzić sławie tego, któremu zazdrości, i oczerniwszy zaraz się kryje. Zazdrość jest najprzeciwniejsza miłości bliźniego; ona żałuje mu tego, czego życzyć powinna, ona pragnie dlań tego, od czego miłość nakazuje bliźniego zasłaniać. Brzydkie to, bezecne, a jednak jest w naszem sercu, bo jakież tam ropuchy się nie gnieżdżą!

Odmiennem uczuciem jest antypatya. Tu już nie fakt pojedyńczy niemile nas uderza, nie powodzenie, albo chwała bliźniego nas razi, ale cała osoba: jego mowa, jego postawa, jego zachowanie się, wszystko nam w nim nieprzyjemne, oburza nas przeciw niemu. Nie trzeba nas pytać dlaczego, nie łatwoby nam

przyszło odpowiedzieć, sami nie wiemy dlaczego, Ale że tak jest, że mamy wstręt do niej, więc jej nic w oczach naszych nie ujdzie, niczemu nie przebaczymy, w niczem jej nie oszczędzimy. Uciecha to dla nas, kiedy możemy rozmyślać nad jej wadami, o nich mówić, niemi drugich zabawiać.

Źródłem obmowy bywa także zgryźliwość, chęć gdyrania. Świat pełen jest takich cenzorów, którzy widzą w bliźnim to tylko, co mu można zarzucić i życie swoje trawią wygadując na tego lub owego. Są to jak młode pieski, którym się zęby puszczają; koniecznie potrzebują coś gryźć. A jeszcze większa bieda, kiedy taki zrzęda złośliwy będzie niby pobożnym; wciąż z każdej rzeczy będzie się gorszył. To coby zbudować mogło, to go nie uderzy, tylko to, co gorszy! Tylko nad tem będzie się zastanawiał, razem z faryzeuszem, dziękując Panu Bogu, że on nie taki! Gorszy jest drugi stopień złego. Czło-

wiek prosty, prawy, nie łatwo się gorszy; trzeba mieć w sobie pewną dozę złego, aby się poddawać prędko zgorszeniu. To prawdziwa plaga na świecie owi pobożnisie, dewoci, którzy obmawiają. Z minką ułożoną, skromniutką, głosem cichym i wymierzonym tak tnie i szarpie, że drugi i w gniewie lepiejby nie potrafił! A jeśli ośmielisz się powątpiewać o jego sądzie, zaraz krzywo na ciebie spojrzy i zadąsa się i w duszy cię osądzi, żeś ty człowiek niepewny, podejrzanej wierności dla Kościoła, skoro się nie piszesz na jego słowa. Co najdziwniejsza, że po takiej rozmowie pójdzie on prosto do Kościoła, gotów dziękować P. Bogu, że mógł bronić Jego chwały swoim gadzinowym językiem. Do takichto Chrystus Pan powiedział: Obłudniku, wyrzuć pierwej belkę z oka twego, a wtedy będziesz mógł wyrzucić źdźbło z oka brata twego. Sądzić i potępiać bliźniego łatwo,

poprawić siebie trudno, a obłudnicy najmniej o tem myślą.

Złośliwe dowcipkowanie - to także szeroka paleta, na której roztarte są farby do malowania ludzi — a zawsze na czarno! Tu nie tyle złość i chęć dokuczenia ile próżność i chęć popisania się jest bodźcem do obmowy, do szyderstwa. »Ja niemam nic przeciw niemu, nie życzę mu źle, chcę się tylko zabawić!« Piękna zabawka! Nie masz nic przeciw niemu, nie życzysz mu źle, a uderzasz go tak boleśnie, jakby was dzieliła nienawiść; chcesz się zabawić zniesławiając go, a przynajmniej wystawiając go na śmieszność. Martwisz go, rozjątrzasz na siebie; i czyż to nic, czyż to zabawka? A dlaczego to wszystko? Aby zabłyszczeć swoim dowcipem i może trochę, by się podobać! Już to ten ostatni cel zupełnie chybiony. Ludzie mogą przyklaskiwać takiemu dowcipnisiowi; ale ufać mu, szanować go z pewnością nie będą, owszem ka-

żdy go będzie z daleka omijał, aby się nie dostać na jego języczek. I czy doprawdy warto w sobie cenić tak nieszczęsny dowcip? Jest w malarstwie osobny rodzaj — karykatury, który tak nisko szacują, że go nawet do sztuki nie zaliczają. Podobnie i w literaturze, poemata trawestowane, skarykaturowane, choć miały jakiś czas wziętość, poszły w zasłużone zapomnienie. Cóż łatwiejszego jak w kimś słabej strony dopatrzeć? Każdy ujrzy odrazu plamę na obrazie, ale aby piękne jego strony dopatrzeć i zrozumieć, na to trzeba mieć coś w swojej duszy, co piękności tego obrazu odpowiada. W sądzeniu jesteśmy do pewnego stopnia my sami jakby zwierciadłem, w którem drugich widzimy. Nie znając ich wnętrza, sądzimy ich po sobie i o nich to mówimy, co jest w nas samych. I dlatego św. Paweł powiada: W czem drugich sądzisz, w tem siebie samego potępiasz; tak samo bowiem ty postępujesz, jak są-

dzisz. Osa i pszczoła z jednego ssą kwiatu, a niejednaki znajdują w nim miód. Co w nas jest, to i w drugich widzimy, a częściej nasze własne usposobienie niż to, co w drugim jest, bywa podstawą naszego sądu.

Nakoniec, że jeszcze jeden rodzaj przytoczę obmowy: z lekkomyślności, gadulstwa, z próżniactwa i czczości umysłowej. Rozprawia się o wszystkiem bez sądu, bez uwagi, do rzeczy lub nie do rzeczy, o tem co się wie i o tem, co się nie wie; cokolwiek na myśl przyjdzie, to się zaraz wygada, nic przy sobie zatrzymać nie mogąc. Kto ma taką świerzbiączkę języka, ten trudno, żeby mową nie zgrzeszył. Ze wszystkich pokus jest to może najniebezpieczniejsza, najtrudniejsza do zwalczenia. Wiedział o tem Apostoł św. Jakób, kiedy mówił: Język maleńki członek jest, a całego człowieka burzy, ogień jest, który las zapala. Kto zapanuje nad swym językiem, nad całą swą

istotą zapanuje. Wszelkie zwierzę da się obłaskawić, lecz języka żaden człowiek własną mocą ukrócić nie może; złe to jest pełne jadu śmiertelnego. I dodaje: niechaj nikt nie sądzi, że jest nabożnym, jeśli nie powściąga języka swego; oszukuje on siebie i nabożeństwo jego próżnem jest. I jeszcze mówi ten św. Apostoł: Kto w słowie nie upada, ten jest mąż doskonały.

Być może, że naszą obmową nie zabijamy duszy śmiertelnie, być może, że nie ma w niej złości tych, co na Chrystusa Pana fałszywie świadczyli, chociaż i to nieraz prawdopodobne, ale bezwątpienia zasmucamy Go, postępując wbrew Jego słowom i przykładom, jakie zostawił. Kiedy niewiastę wiarołomną stawiono przed Jezusem i domagano się, aby ją osądził, Zbawiciel nie uniewinnia złego, ale powiada: »Kto bez grzechu, niech na nią pierwszy ciśnie kamień«. Odeszli wszyscy, bo im sumienie mówiło, że każdemu niejedno zarzu-

cić można. »I ja cię nie potępię«, rzekł Pan Jezus. On najczystszy i najświętszy nie potępił, a my, których duszę tyle kazi plam, jakimże prawem potępiamy bliźniego, który mniej może od nas wykroczył? Kto z Bogiem prawdziwie połączony, ten niewyczerpany jest w swojej wyrozumiałości dla drugich, a surowość całą zachowuje dla siebie, ten swoje winy potępia bezwzględnie, dla drugich zaś i o drugich ma zawsze dobre słowo. Przeciwnie, kto dla drugich cierpki jest i niesprawiedliwy, ten swoje winy zawsze będzie usprawiedliwiał, albo taką mu się wydawać będą drobnostką, że nawet o nich myśleć nie będzie. »Nie sądźcie, nie będziecie sądzeni«, mówi Pan; a więc kto sądzi, jest najcięższym siebie samego wrogiem, sam sobie utrudnia zbawienie, sam przydaje sobie kary w wieczności, która bez tego albo by mu została odpuszczoną, albo o wiele byłaby znośniejszą.

Grzeszym obmową przeciw miłości, grzeszym przeciw sprawiedliwości. Czyż każdy, co drugiego w sposób niekorzystny osądził, nie doświadczył tego, że zaraz potem pewna niechęć do jego duszy wstąpiła, albo przynajmniej chłód jakiś; że ten człowiek, któregośmy zniesławili, jest nam niemiły jak wyrzut sumienia, jak ofiara; nie lubimy go, bośmy go skrzywdzili. A krzywda ta może być ciężką, do naprawienia trudną, czasem niepodobną? Cóż droższego nad dobre imię? Wszak ludzie w świecie dla jego utrzymania albo ratowania narażają majątek, zdrowie, a nawet życie, a tymczasem przez osobliwszą sprzeczność, najmniej właśnie dobre imię bliźniego szanują. Z jakim to trudem, z jakiem wytrwaniem, z jakiemi ofiarami, trzeba nieraz dobre imię zdobywać, a tymczasem jedno słówko, mniej nawet, jeden gest albo uśmiech dwuznaczny wystarczy, aby je do szczętu zrujnować. Powiesz drobnostkę na szkodę bliźniego, wnet

je plotka jak echo dziesięć razy powtórzy, dziesięć razy powiększy i z twoich słów to wywnioskuje, o czemeś ty nigdy nie myślał. Obmowa jest jak grad, który w jednej godzinie niweczy całoroczny mozoł gospodarza; jest jak kamień rzucony do wody, który wprawdzie w jedno tylko wpada miejsce, ale coraz dalsze i coraz szersze na wodnem zwierciedle tworzy kręgi i nareszcie cały staw poruszy; a całego poruszenia przyczyną ów nieznaczny kamyczek! — Ale powie mi kto: »cóż ja złego zrobiłem, ja tylko prawdę powiedziałem, fakt, który wyjawiłem, jest niewątpliwy«. Być może, że to jest prawda, ale ona nie była znaną nikomu, ty wyjawiając ją zabiłeś reputacyą bliźniego, a jakież miałeś do tego prawo? Szarpnąłeś się na cudzą własność, a ta własność tak wielkiej ceny. Skrzywdziłeś, a jakże naprawisz? Toż to właśnie bieda, że skazę honoru, dobrego imienia, zmazać najtrudniej; rdza co się

chwyta tego metalu, na zawsze zostanie. Słówko ptaszkiem uleci, a parą wołów nie ściągniesz go napowrót. Odwołać niełatwo, niezgrabnie, a choćbyś i odwołał, któż uwierzy? Uśmiechną się, przez grzeczność zamilkną, a pozostaną przytem, co pierwej słyszeli; powiedzą sobie, jeśli to nieprawdziwe, to prawdopodobne. Serce ludzkie tak jest zepsute, że łatwiej w niem się przyjmie złe choć skłamane, niż dobre choć prawdziwe. Wszak wiadomo, kto to powiedział: »Kłamcie, spotwarzajcie, zawsze z tego coś zostanie!« Cóż dopiero jeśli w twojem słowie krzywdzącem była prawda? A więc wyjawiając niepotrzebnie prawdę na szkodę bliźniego możesz więcej mu zaszkodzić, niż wymyślonem fałszem: prosta obmowa może być w pewnym wypadku daleko dokuczliwszą, niebezpieczniejszą, aniżeli potwarz.

Za to wszystko trzeba będzie na tamtym świecie zapłacić! Jeśli z każdego próżnego słowa musimy zdać

sprawę, to o ileż więcej ze słowa, które jest z krzywdą ludzką! Lecz nie tu koniec skutkom obmowy. Ś. Bernard powiada, że obmowa trzy popełnia zabójstwa: zabija własną duszę, tracąc przez grzech łaskę Bożą, zabija reputacyę obmówionego, a nakoniec zabija miłość bliźniego w tym, który słucha obmowy. Bo i ten grzeszy, a grzeszy z mojej winy, skoro ja mu do tego dałem okazyą. Ani obmowa, ani złodziej, *neque maledici neque rapaces*, nie wejdą do królestwa niebieskiego, mówi Ś. Paweł, stawiając ich na jednej linii; i słusznie bo obaj kradną, jeden własność bliźniego, drugi jego sławę, która także, jak dopiero co mówiliśmy, jest drogocenną własnością. Lecz jeśli obmowca idzie w parze ze złodziejem, to słuchającego obmowy można porównać do przechowywacza rzeczy skradzionych, jako taki i on bierze udział w tej kradzieży i on za nią jest odpowiedzialny. Gdyby nie było tych, co słu-

chają obmowy, nie byłoby i obmowców. Kiedy ktoś w mojej obecności oczernia bliźniego, a ja milczę, choć przerwać mogę, grzeszę i grzeszę jeszcze więcej, jeśli obmowę z upodobaniem przyjmuję, jeśli śmiechem, wesołością, jaką ona mi sprawia, do niej obmowcę zachęcam. Jest tu grzech obustronny, wspólność grzechu, co bardziej złość jego powiększa.

Nareszcie, by jeszcze jedną stronę złych następstw tej wady wykazać, obmowa psuje węzeł towarzyski, jaki Bóg między ludźmi utworzył. Człowiek przeznaczony jest do życia społecznego. Bez społeczności ani najpierwszych potrzeb zaspokoić on nie jest wstanie, ani swych przymiotów i władz duszy rozwinąć. Ale społeczność ludzka wtedy jest dobra i trwała, kiedy się na Bogu opiera i do Boga odnosi, kiedy między członkami jej panuje spokój i zgoda, ufność i miłość. »Miłością bratnią jedni drugich miłując, mówi Apostoł,

należnem uczczeniem jeden drugiego uprzedzając«. Winniśmy cześć bliźniemu; jakże z nią pogodzić obmowę? Gdzie obmowa się wciśnie, tam w miejsce spokoju i zgody nastaną niesnaski i kłótnie, w miejsce ufności bratniej niechęć, dobrze, że nie otwarta wojna. Wszelka społeczność, w której plotkarstwo i szkalowanie zapanują, musi słabnąć, rozprzęgać się, obumierać. Jedno spostrzeżenie przychodzi na poparcie tego, co mówię. Niewiem, jak dalece jest ono prawdziwe, choć w moich oczach wiele tłómaczy. Obmowa po wszystkie czasy była najpospolitszą u ludzi wadą; Ś. Franciszek Salezy powiedział: »Usuń obmowę, a połowy grzechów ubędzie ze świata«. Wszakże, ażaliż się omylę, twierdząc, że u nas Polaków, bardziej ona zagęszczona, niż gdzieindziej. Skutkiem miłości własnej i zazdrości, które nie rade są powodzeniu drugiego, skutkiem próżniactwa, które zbyt wiele zostawia nam czasu na

próżną gawędę i innych wad, które zbyt długo tutaj byłoby wyliczać, a nadto, skutkiem niedokładnej znajomości katechizmu i nieścisłości w wypełnieniu przepisów wiary, obmowa zakorzeniła się u nas tem mocniej, że nie wielu naprawdę bierze ją za złe. Z niepojętą łatwością sądzimy, potępiamy, czernimy jeden drugiego; gdzie są małe złego poszlaki, tam je stokroć powiększamy, gdzie ich niema, tam je wymyślamy, podejrzywamy, bawimy się szarpiąc sławę bliźniego, jakby szmat starego płótna i powtarzam, bardzo jest mało ludzi, którzy to za grzech poczytują i z niego się spowiadają, jeśli spowiadają się w ogólności. Tę łatwość czernienia drugich przenosimy z życia prywatnego i w sfery publiczne; owszem tu ona dopiero rozwija się w najlepsze i niwę narodową najbujniej zarasta. Na tak małą liczbę gazet, które u nas wychodzą, ileż oszczerstw i potwarzy. Są pisma, dla których one są chlebem codzien-

nym, a czy przyjdzie komu na myśl, że jeśli grzechem jest słuchać obmowy, to zdaje się, grzechem jest także czytać obmowę; bo jak nie byłoby obmowy bez słuchających obmowców, tak nie byłoby pism szkalujących bez czytelników. Jakież stąd następstwa? Wzajemna nieufność, podejrzenia, niechęci, a wskutek tego ogólna nieporadność i ciągła bezsilność. Jak tu iść razem, jak tu z kim się związać, jak coś wspólnego, trwałego przedsięwziąść, kiedy ja nie wiem, co on o mnie myśli, co o mnie powie, owszem wiem nawet, że go nic nie kosztuje rzucić na mnie domysł ubliżający, plotkę krzywdzącą? I cóż dziwnego, że w takiem społeczeństwie ludzie zacniejsi a mniej śmieli, usuwają się, cofają w najciaśniejszy zakątek domowy, umywają ręce od wszystkiego, aby tylko nie narazić się nikomu, nie wystawić się na sądy, na szkalowanie i potwarze? I cóż dziwnego, że w takim narodzie węzeł

społeczny słabnie, rozprzęga się, że ludzie takiego narodu sobie wzajem nie ufając, na sobie wzajemnie nie polegając, obcym ulegać muszą koniecznie? Owo przysłowie: »Polegaj na mnie jak na Zawiszy«, wyszło u nas z użycia, już go teraz nie słychać. A nie od dziś dnia tak jest. Czytając relacye i podróże zagranicznych o Polsce z ostatnich czasów przed upadkiem kraju, trudno nie być uderzonym, jak owi cudzoziemcy w bardzo krótkim czasie dokładnie u nas się orjentowali i poznawali nietylko sprawy publiczne, ale szczegóły najbardziej poufne z prywatnego życia. Posłużyło im do tego zwyczajne plotkarstwo, a obok tego ufność z jaką im ze wszystkiego zwierzano się, posłużyła jeszcze więcej skwapliwość z jaką odsłaniano przed nimi słabe strony nietylko nieprzyjaciół ale i przyjaciół domowych i politycznych. Więc to znak, że pod tym względem, wówczas nie było lepiej, niż dzisiaj, jeśli gorzej nie było;

lecz przy takiem nieszanowaniu się, nieoszczędzaniu się wzajemnem, jakaż ufność mogła się zrodzić, jaka siła społem? Drobne na pozór uchybienia, gdy rozpowszechnione, przyczyniają się więcej, niżby się zdawało, do ogólnej niemocy. »Królestwo rozdzielone w sobie ostać się nie może«. A cóż bardziej rozdziela nad wzejemną nieufność, która jak cień za człowiekiem, idzie za obmową i potwarzą!

Dla chrześcian, którzy Pana Boga kochają, nie potrzeba zapewne ziemskich pobudek, aby strzedz się grzechu, dość, że w nim jest obraza Boga, dość, że przezeń dzieje się szkoda naszej duszy i krzywda bliźniemu. Ale i miłość Ojczyzny jest nam daną od Boga; więc i nią posłużyć się godzi; jeśli ona dopomódz może do wytępienia w nas skłonności tak głębokiej, tak powszechnej, a z tylu miar szkodliwej.

Aż do chwili, w której Pan Jezus został pojmany, św. Piotr nie przy-

puszczał, aby nieprzyjaciele mogli wziąść górę nad nim; wiedział, że ma moc zawstydzenia wrogów, ukarania zdrajcy. Lecz gdy ujrzał, że Jezusa wloką związanego jakby zbrodniarza, że go lżą, biją i kopią, a On to wszystko przyjmuje w milczeniu i idzie jak owca na zarżnięcie, św. Piotr nie wiedział co myśleć, zachwiał się w swej wierze w Chrystusa i stracił sam wszelką odwagę. Uciekli Apostołowie, św. Piotr nie miał serca uciekać, szedł zdaleka. Zmięszany, szarpany trwogą o siebie, ale i niepokojem o los Chrystusa, wcisnął się do domu Kajfasza. Tam już rozpoczęło się niegodziwe śledztwo, a podczas gdy w sali sądowej fałszywi świadkowie zeznawali, dom cały był pełen naigrawań z Jezusa. Św. Piotr wszedłszy pomiędzy żołnierzy udawał obojętnego i grzał się przy ognisku. Już ta obojętność, jakkolwiek udana, była grzeszną; dla niego miejsce było świadczyć za Chrystusem. Obojętność u tych, którym obo-

jętnymi być niewolno, jest początkiem odstępstwa: nie długo też trzeba było nań czekać. Jedna ze służących, poznawszy go, rzekła: »I tyś jeden z Nazarejczyków«. — »Kobieto, co mówisz, nie znam tego człowieka«. Niebawem i druga służąca pokazuje go jako ucznia Chrystusowego. On tem głośniej zaprzecza: »Nie znam tego człowieka, nie znam go nawet z imienia« i stwierdza to przysięgą. Po tak fatalnych wypadkach powinienby czemprędzej odejść z tego domu, lecz odejść nie może, bo on kocha Chrystusa. Ale innej trzeba miłości, by przy takim zamęcie w duszy, wyznać Go przed ludźmi. Tymczasem znowu jeden żołnierz go poznaje: »Jakto, ty tutaj, albożeś nie uczniem Nazarejczyka? Próżno się wypierasz, poznać cię po mowie, żeś Galilejczyk«. Wszczyna się hałas i nadchodzi krewny Malhusa, tego samego, któremu Piotr odciął był ucho w Getsamani i rzecze: »Jakże możesz zaprzeczać, kiedym

cię widział z nim razem tej nocy, w ogrojcu oliwnym«. Ale Piotr wszedłszy raz w kłamstwo, brnie w niem dalej: »Jako żywo nie znam tego człowieka, nie mam nic z nim wspólnego« i na cały głos począł kląć się i Boga przyzywać na świadectwo swego fałszu. A wtem kur zapiał po raz drugi. Piotr nie słyszał pierwszego piania, byłby i drugiego nie słyszał, lecz oto w sądzie skończyła się sprawa Nazarejczyka. Skazany na śmierć. Odprowadzają Go do więzienia. Jezus zstępując po schodach, spojrzał na Piotra. Dopiero to spojrzenie otrzeźwiło nieszczęśliwego ucznia i dało mu poznać całą wielkość popełnionej zbrodni. I wyszedłszy na ulicę, począł płakać gorzko.

Ah, któżby nie zapłakał nad tym uczniem, co najpierwszy uznał Boga w Chrystusie, a później głosił, że Go nie zna, nie zna nawet z imienia; co przed chwilą zaręczał, że pójdzie z Nim do więzienia i na

śmierć samą, a teraz gdy Chrystus w niebezpieczeństwie, on się go wypiera i oświadcza, że nie ma nic z nim wspólnego. Nietylko w owych wielkich, lecz rzadkich wypadkach życia, w których powołani jesteśmy ważyć wszystko, co mamy najdroższego: majątek, stanowisko, wolność i krew samą, powinność świadczenia prawdzie spada na nas zawsze, choćby z małem niebezpieczeństwem albo i żadnem. I kto od tego umyka, kto n. p. kryje swe zdanie w obronie prawdy, chociaż je winien powiedzieć; kto przez wzgląd na ludzi od modlitwy odstępuje lub wstydzi się pościć, dlatego, że inni nie poszczą, kto powstydzi się choćby tylko znaku krzyża św. wobec ludzi, ten także jak Piotr wypiera się Chrystusa. Piotr przeląkł się niebezpieczeństwa, które mu groziło; my z wyznaniem prawdy cofamy się przed tem tylko, co o nas ludzie powiedzą, albo i przed tem tylko, co o nas pomyślą!...

Takim był upadek Piotra, a teraz obaczymy jaki jego żal. — »I wyszedłszy płakał gorzko.« Dobrotliwe spojrzenie Jezusa odsłoniło mu przepaść, w którą się stoczył i wszystkie grzechy w jednym naraz popełnione: począwszy od niewiary w przestrogi Mistrza, od zaniedbania modlitwy, którą powinien był bronić się od zuchwalstwa, z jakiem się rzucił w niebezpieczeństwo, aż do tej niewdzięczności, z jaką się wyparł Boga, aż do tej okrutnej nieczułości, z jaką zranił serce Jezusa, już tak srodze znieważonego przez służebników żydowskich. To wszystko staje mu przed oczyma: szarpie, rozdziera jego serce, sprawia mu ból gwałtowny, który wybucha głośnym płaczem. Nie mówi, lecz płacze. Łzy są wyznaniem jego przekleństwa, świadectwem jego skruchy. Wobec tych łez, dobry Jezus o wszystkiem zapomniał, przywrócił mu swoją przyjaźń i zaraz po swem zmartwychwstaniu, pierwszemu Piotrowi się ukazał,

wprzód jeszcze zanim ten miał sposobność dowieść swej poprawy. Jakośmy grzesznego naśladowali Piotra, naśladujmyż go i czyniącego pokutę, mówi modlitwa kościelna.

A ta boleść jego nie ustała odtąd nigdy; nigdy on nie stracił pamięci owej strasznej chwili. Jeden z uczniów Piotra opowiada, że na twarzy jego widać było dwie głębokie bruzdy, ustawiczemi łzami wyżłobione. Każdej nocy aż do śmierci, w chwili, gdy kur zapiał, Piotr podnosił się z ziemi, na której sypiał i na nowo przepraszał Pana. Może to komuś wyda się przesadnem. Jestto właściwe duszom szlachetnym, że kiedy im się zdarzy Boga obrazić, nie mogą tego nigdy zapomnieć. Szczęśliwy, komu Bóg daje łaskę pamięci swego grzechu, znak to dobry dla duszy: mieli ją wielcy święci i pokutnicy. jak Paweł, Magdalena, Marya Egipcyanka, Małgorzata z Kortony i tylu innych między nowszymi,

Pokuta Piotra była pokorna i nieufna sobie. Kiedy Chrystus zmartwychwstały zapytał Piotra: czy kochasz mnie więcej niż ci — wskazując na uczniów, o ileż Piotr nawrócony i pokutujący różnym był od dawnego. Już on nie woła jak przy ostatniej wieczerzy, zaufany w sobie: »choćby Cię wszyscy mieli się zaprzeć, ja się nie zaprę nigdy.« Nie — ale w postawie klęczącej z głową pochyloną, przytłumionym głosem i w ciężkiej boleści mówi: »Ty wiesz Panie, co się dzieje w mojem sercu: *Tu scis Domine* — ja nieśmiem nic twierdzić.« W żadnej Ewangelii upadek Piotra nie jest tak dokładnie opowiedziany, jak u Marka, a wiadomo, że ta Ewangelia spisana była pod opowiadaniem Piotra. Snać chciał, aby wszyscy wiedzieli o jego grzechu i nim gardzili. Patrzmy dalej, jaka z tem pragnieniem własnego pohańbienia zaszła w Piotrze odmiana. Wkrótce po wniebowstąpieniu Chrystusa, nauka

jego zaczęła się szeroko rozszerzać w Jerozolimie i po całej Judzkiej ziemi. Przywołano Piotra przed Sanhedryn, aby zdał sprawę z tej nauki, którą w brew zakonowi głosił. Stanął przed nim i on, co się niegdyś uląkł niewiasty i kilku żołnierzy, teraz odważnie najwyższym dostojnikom narodu wyrzuca zbrodnię, którą popełnili krzyżując Jezusa. Ubiczowano go za to i pod groźbą ponowiono zakaz, aby o Jezusie więcej nie mówił. A on krótko odpowiedział: Więcej trzeba słuchać Boga, niżli ludzi! Jakaż to wielka odpowiedź, i ileż to razy od 18 wieków powtórzono ją w najważniejszych wypadkach, w najtrudniejszych chwilach życia! A dalej po kilku latach rządów chrześciańskiwa w Antiochii, Piotr przenosi naukę Chrystusa do rezydencyi Cezarów, do stolicy wszystkich bogów świata i tam wydaje walkę panującemu nad całą ziemią pogaństwu. Już też doprawdy, po ludzku mówiąc, nie możnaby wymyśleć wię-

kszego szaleństwa i gdyby któremu z nas przyszła ochota wybrać się samotnie do Pekingu albo Jeddo, aby nawrócić tamtejszych Cesarzy, mniejby to zuchwała była wyprawa. Człowiek ubogi, bez znajomości świata, prosty, nędzny rybak galilejski, puszcza się sam na zwalczenie tej wszechwładnej Romy, przed którą wszystkie potęgi Europy, Afryki i Azyi ugięły kolana. Rzecz prosta, że takie przedsięwzięcie musiało go poprowadzić na śmierć oczywistą, a najboleśniejszą, najhaniebniejszą ze wszystkich na krzyżu. Wiedział o tem i nie cofnął się ów niegdyś trwożliwy Piotr. I gdy przyszła nań godzina męki, takiej samej, którą poniósł niegdyś ukochany jego Mistrz, Piotr o to tylko błagał, aby na znak jego niegodności, ukrzyżowano go głową w dół. I tak się stało, i umierając na krzyżu ów zarozumiały niegdy Piotr, świadczył jeszcze o swojej pokorze. Jakież to święte szaleństwo krzyża, które Piotrowi dało

odwagę zatknąć w Rzymie krzyż Chrystusów i swój! Położył głowę, to prawda, ale na tej głowie 70-letniego starca, która na krzyżu z taką miłością Jezusa, a wzgardą siebie umierała, Kościół oparł swoje podwaliny i stoi na nich od 18 wieków i trwać będzie i panować bęszie z Rzymu do skończenia wieków, jako Głowa świata, a dlatego, że w tym Rzymie Piotr złożył swą głowę!

Takim był żal Piotrowy, rączy, bolesny, pokorny i wytrwały. A teraz słowo o żalu Judasza.

Jakto, czy i Judasz żałował? O i bardzo! I nie można zaprzeczyć, że żal jego miał wiele pozorów prawdziwej pokuty, tylko brakowało w niej pierwszego warunku: wiary w bóstwo Jezusa i miłości dla Niego. Kiedy Zbawiciel po raz pierwszy zapowiedział, że ciało swoje odda wiernym na pokarm do żywota wiecznego, powiadają, że Judasz już wówczas chciał Go odstąpić, jak wielu

uczniów odstąpiło. Ale pozostał, bo miał sobie powierzoną kasę, a był chciwy na grosz i dla siebie ze wspólnego odkładał worka. Judasz był złodziej, lecz co gorsza był obłudny, udawał wiarę, której nie miał i ta zbrodnia ze wszystkich najstraszniejsza, dobiła go. »Jeden z pomiędzy was jest dyabeł« rzekł Jezus do uczniów swoich. Skuszony chęcią najpodlejszego zysku, poszedł Judasz do starszyzny żydowskiej i rzekł im: »Co mi dacie, a ja Go wam wydam.« I dali mu trzydzieści srebrników, cenę, po której niewolników płacono. Czy Judasz pragnął śmierci swego Mistrza? Nie zdaje się, i owszem wszystko mówi przeciw temu. Choć nie wierzył w Jego bóstwo, znał Go przecież jako możnego słowem i czynem i przypuszczał, że potrafi się od śmierci uwolnić. Dopiero gdy posłyszał, że Jezus został skazany przez Kajfasza, że Go oddano w ręce Piłata, że śmierć niechybną poniesie, przeraził się, za-

wstydził się swej zdrodni, bolał nad nią. »Zdjęty żalem«, mówi Ewangelia, nie ukrywał wcale swego grzechu; owszem poszedł go wyznać jawnie, szczerze, zupełnie. »Zgrzeszyłem«, prawi, i sam dodaje w jak okropny sposób: *tradens sanguinem justi*, wydając krew sprawiedliwego. A nie w cichości to powtarza, ale w świątyni; w obecności tej samej Rady, której był sprzedał Chrystusa; przed nią świadczy o niewinności Jego i o podłości swojej. Co większa, nie chce nic zatrzymywać z niegodnego zysku, odnosi trzydzieści śrebrników, *retulit triginta argenteos*. Gotów jast przyjąć karę zdrajcy i potwarcy, głosi świętość Zbawiciela tam właśnie, gdzie Piotrowi zabrakło odwagi wyznać Chrystusa.

A więc Judasz zrobił, co mógł, aby złe naprawić, dopełnił zewnętrznych warunków pokuty. A jednak cóż to za tajemnica, Judasz nie otrzymuje przebaczenia! Strach po-

myślsć, jak to mało potrzeba, aby przy wszystkich na oko widzialnych warunkach poprawy, zginąć na całą wieczność. Judasz nie zrobił tylko jednej rzeczy: nie zwrócił się z ufnością do Pana Jezusa, nie błagał Go o odpuszczenie. Nie wierzył, że mu Chrystus Pan przebaczy. A dlaczego nie wierzył? Bo wprzódy przez długi czas udawał wiarę. Zadawnione kłamstwo zamknęło mu przystęp do Tego, który był samą prawdą. Kłamstwem świat przejdzie, ale niem nie wróci, mówi mądrze polskie przysłowie. Kłamstwo zawsze w końcu oszuka kłamcę. Ciężki i długo ponawiany grzech, odejmuje nam zdolność upokorzenia się przed Bogiem; choćbyśmy chcieli, już nie możemy, nie rozumiemy tego. Tak i Judasz, kłamiąc wciąż już nie był zdolny upokorzyć się, to jest stanąć w prawdzie przed Bogiem, a to jedno byłoby go zbawiło.

Judasz był kłamcą, a do tego pysznym, bolała go własna nieprawość.

Widząc się podłym, zdrajcą, nikczemnikiem, wstydził się przed sobą i przed ludźmi: tego wstydu on znieść nie mógł i ten go przywiódł do rozpaczy i do samobójstwa. W całem postępowaniu Judasza, w tych wszystkich zewnętrznych oznakach żalu, to nie pokora przebija, lecz pycha, a tak zgryźliwa, że mu przytomność i zmysły odbiera. On nie myślał, jak Piotr o Bogu, on myślał o sobie; on nie żałował jak Piotr Jezusa, on żałował siebie. Jak z chciwości sprzedał, tak z pychy żałował; a ten żal zgryźliwy i pyszny był najwyższą jego zbrodnią, ostatnią kroplą, która do tylu dawnych nieprawości przydana, spełniła miarę sprawiedliwości Bożej.

Przestroga to ważna, godna pilnego śledzenia, głębszej rozwagi. Bo i któż z nas jest pewien, że w nim nie ma coś Judaszowego żalu? Zdarzyć się może, że ktoś wyznając swe grzechy i płacząc nawet nad niemi, nie nad tem głównie płacze,

że Boga obraził, ale nad tem, że jest szpetny, lichy i nędzny. Własna brzydota bardziej mu doskwiera, niźli obraza Boga. Taki żal nie usprawiedliwia, zawstydza tylko miłość własną, powiększa drażliwość, natęża pychę. Z takim żalem można przez lata spowiadać się i nie poprawić się wcale; owszem, jeśli nie staniemy się gorszymi, to tylko z miłosierdzia Bożego. A zatem warto się nad tem zastanowić i pokornie prosić Boga o wyświecenie nam, jakie są pobudki naszego żalu. Jeżeli boleść, którą czujemy drażni nas, niepokoi, niecierpliwi względem siebie samych; jeżeli grzechów naszych żałujemy dlatego, że one poniżają nas w naszych własnych oczach i psują reputacyę u ludzi; jeżeli podstawą naszego rachunku sumienia nie jest Bóg. Jego dobroć, Jego wymagania względem nas, tylko ten ideał, jaki my sami o sobie i o naszej własnej doskonałości utworzyliśmy, jeżeli bodźcem do wyznania naszych grze-

chów nie jest chęć przeproszenia Boga, — znak to nie dobry, to nie jest jeszcze żal Piotrowy, to jest coś z Judaszowego, z którego upokorzyć się i którego pozbyć się trzeba. Żal Piotrowy bolesny jest, ale spokojny, każe gardzić naszą szpetnością, ale bardziej jeszcze wielbić piękność Bożą, każe brzydzić się naszą niewdzięcznością, ale tem mocniej jeszcze pobudza do wdzięczności Bogu; a im większe w nas rodzi o sobie samym zwątpienie, tem pełniej każe ufać Bogu, ufać bez granic, bo bez granic Jego miłosierdzie!

IV.

Chrystus Pan w pałacu Heroda.

Opowiada Ewangelista, że obaczywszy Jezusa Heród ucieszył się bardzo, oddawna bowiem pragnął Go widzieć, dlatego, że o Nim słyszał wiele i spodziewał się, że w oczach jego zrobi jaki cud. Wypytywał Go przeto wieloma słowami, a On nic nie odpowiedział. A było to w obecności książąt, kapłanów i skrybów, którzy Go jednostajnie oskarżali. Wzgardził nim przeto Heród wraz z całym dworem swoim, i ubrawszy w białą szatę, wyszydził Go i odesłał do Piłata.

Heród spodziewał się znaku od Chrystusa Pana i gorąco go pożądał. Bezwątpienia, to nie była przyczyna, aby Chrystus Pan uczynił cud. Ale były i inne. Mógł w ten sposób uwolnić się od zaskarżeń żydowskich, mógł dać świadectwo swojej chwale i potędze, mógł zawstydzić złośliwych potwarców i z tak licznego orszaku, który otaczał Heroda, może niejednego byłby nawrócił, zmusił do uznania swego Bóstwa. Dlaczegóż jednym aktem swojej wszechmocności nie zrobił tyle dobrego, skoro mógł? Dlaczego? Takie pytanie stawia rozum ludzki, zadziwiony, że Zbawiciel opuścił tak dogodną okazyę, i że tą pozorną niemocą, na którą się skazał, utwierdził nieprzyjaciół w ich zuchwalstwie. Wyznajmy, że my na miejscu Chrystusa Pana, możebyśmy inaczej postąpili, możebyśmy byli zręczniejsi! Alboż to nie mały tryumf rozbroić swoich wrogów, w ich własnym obozie znaleść obrońcę i sprzymierzeńca, mniej ba-

cząc na to, z jakichby to było powodów?

Chrystus Pan nie odmawiał cudów pokornym, wierzącym; czynił je nawet wtedy, gdy Go o to nie proszono. Ale Heród nie przychodził doń z wiarą, z bojaźnią i pokorą, ciekawy był i pragnął tylko zabawić się. Już takie postawienie się jego było ubliżeniem dla Chrystusa Pana. Bóg nie może być przedmiotem naszej ciekawości, a tem mniej zabawy. Pokora i ufność zdobywa serce Boga; przed pychą i ciekawością On się usuwa. Chrystus Pan nie uczynił cudu w obliczu Heroda, bo on dzieł Bożych nie godzien był oglądać. Nie rzucaj pereł przed wieprze, mówi Ewangelia. A jak pokornym oddaje się Bóg miłośnie, tak w samych aktach swojej wszechmocy jeszcze nas uczy pokory. Czyniąc cuda Chrystus Pan unikał zawsze rozgłosu; świadcząc dobrodziejstwa, przykazywał, aby o nich nie mówiono. A gdy serca wezbrane

wdzięcznością, chciały pomimo to oddać Mu hołd należny, On wyrywał się od nich, odchodził w góry na samotną z Ojcem rozmowę. Byłoż to miejsce i pora dla cichego Zbawiciela roztaczać blask swej potęgi i majestatu na rozkaz tego króla i na tym dworze zepsutym; przystałoż Mu bawić widzów i wzruszać jakby sztukmistrzów, którego płacą pieniądzmi albo oklaskiem? Nawet pomyśleć o tem nie można bez wstrętu i oburzenia.

Ale Zbawiciel przyszedł na świat zbawiać grzeszników, a gdzież ich było więcej, niż w otoczeniu Heroda? Skoro pozwolił, by go zaprowadzono na ten dwór, to czyż mogło się znaleść gdzieś więcej powodów, by uderzającym wszechmocności gromem wstrząsnąć, przerazić zepsute serca, przywieść ich do upamiętania i pokuty. Dlaczegóż i tego nie uczynił?

Owo milczenie i niemoc Chrystusa Pana, które nas uderzają w pałacu Heroda, powtarzały się później

w różnych epokach historyi Kościoła i dzisiaj powtarzają się jeszcze w naszych oczach. Chrystus Pan milczy wtedy właśnie, gdy odezwanie się Jego, po ludzku sądząc, zdałoby się najporządańsze. Jak Jego wleczono od Annasza do Kajfasza, od Piłata do Heroda, tak i Kościół ciągniony bywa przed trybunały niesprawiedliwe, przed sejmy i parlamenty niewierne; i w gabinetach ministrów, w biórach urzędniczych, w redakcyach sekciarskich gazet, plwają na niego, wyszydzają go, dekretują jego zgubę. Jak Chrystus P. noc całą przesiedział w więzieniu, tak sługi Jego i kapłany zamykają dzisiaj po więzieniach, skazują na wygnanie lub pędzą na Sybir. A Chrystus Pan milczy jak i wówczas milczał. Nie uczynił żadnego cudu na dworze galilejskiego tetrarchy, nie czyni też i dzisiaj żadnego przed tymi potentatami, którzy Kościół chcą zabić. Dla ubogich, pokornych, wierzących zawsze On jednako miło-

sierny i ojcowski. To też jak dawniej w drobnych mieścinach Palestyny, tak i dzisiaj słychać o cudach w Lourdes, Marpingen, Gerczwałdzie, słychać niekiedy o cudownem wyleczeniu w ubogich poddaszach lub cichych klasztorach, ale nie słychać o nich bynajmniej w Berlinie, w Petersburgu, w Kwirynale. Wobec dawnych czy nowych Herodów, Chrystus Pan zdaje się bezsilny, swą pozorną niemocą, zuchwałość ich zdaje się ośmielać, żadnem zjawiskiem niezwykłem ich nie ostrzega, nie przeraża, nie nawraca. Co większa, On nawet wiernych sług swoich żadnym cudem zewnętrznym nie broni, chociaż nie wiemy, jakiemi cudami łaski wewnątrz ich ukrzepia. On dozwala spokojnie, by złość prześladowców się spełniła, biegu zwyczajnej swej sprawiedliwości dla nich nie przyspiesza. Bo cuda nie dla niewiernych są, ale dla wierzących, mówi św. Paweł. Niewiernych a przewrotnych i cud nie nawróci, owszem

rozdrażni ich tylko, ich złość zaostrzy. Nie dawno temu[1]) jeden z polskich pisarzy, który wiele czytał, wiele umie, tylko katechizmu snać nigdy się nie uczył, opowiadając walkę św. Stanisława z Bolesławem Śmiałym, podawał w wątpliwość wskrzeszenie Piotrowina; a dlaczego? Oto dlatego, jak mówi, że gdyby św. Stanisław istotnie był Piotrowina z grobu wyprowadził, to cud tak nadzwyczajny byłby przekonał Bolesława i byłby go nawrócił. Jakaż to naiwność uczciwego poganina, ale przytem jaka pogańska rzeczy Bożych nieznajomość! Albożkapłani żydowscy nie mieli przed oczyma cudów Chrystusa, alboż o nich wątpili? Największy cud Chrystusa Pana wskrzeszenie Łazarza, który przez cztery dni leżał w grobie i już cuchnął, stał się tuż pod Jerozolimą. Ludność milionowej stolicy chodziła groma-

[1]) Pisane 1879.

dnie do sąsiedniego miasteczka, aby wskrzeszonego zobaczyć, by się o rzetelności faktu naocznie przekonać. I czyż to zmieniło usposobienie kapłanów żydowskich? Owszem, ten właśnie cud, świadczy Ewangelia, przyspieszył zgubę Zbawiciela. Bo jak mówili: Trzeba coś zrobić, bo ten człowiek wiele cudów czyni i wszystek lud pójdzie za nim; trzeba z nim raz skończyć. I uwięzili go, i skazali na śmierć właśnie dlatego, że czynił cuda, że wskrzesił Łazarza. Zamiast nawrócić się i uznać Zbawiciela, bardziej zacięli się w swojej nienawiści. Tak samo stało się i z Bolesławem po wskrzeszeniu Piotrowina; tak samo i dziśby się stało, w razie cudownego zjawiska w owych pałacach i gabinetach rządowych, w których knują się spiski na życie i wolność Kościoła. Cuda nie dla niewiernych są, ale dla wierzących. Ludzi pokornych i dobrej woli podnoszą, budują, zagrzewają do większej miłości i wdzięczności dla Boga;

ludzi złych i podstępnych popychają w ręce szatana. Kto ma, to mu będzie dodano, a kto nie ma, i to, co zdaje się mieć, będzie mu odjęto.

Ale choć żadnego faktu nadzwyczajnego w pałacu Heroda Chrystus Pan nie uczynił, były tam jednak cuda uderzające i widoczne dla każdego, co miał oczy dosyć czyste, aby ich dojrzeć. Była mądrość nadziemska, która ludzkim rachubom nie dała się uwieść, ludzkiej zręczności użyć nie chciała, fałsz Heroda przeniknęła na wskróś i wolała własny los pogorszyć, niż ze złem wchodzić w przymierze. Była cierpliwość nadludzka, której żadne obelgi, napaści, wzgarda i szyderstwa zamącić ani poruszyć nie zdołały. Wszakże ten spokój i ta powaga, których Chrystus Pan wobec swych wrogów ani na chwilę nie stracił, uderzyły nawet Piłata; uczuł on, choć poganin, że w tym człowieku jest coś nadzwyczajnego. A jak wówczas sama cierpliwość Chrystusa Pana bez cudu

byłaby dostateczną, by z poganina zrobić wyznawcę Chrystusowego, tak i dzisiaj, spokój i męstwo i wierność Kościoła i sług jego, wśród twardych i samem swem trwaniem nużących prześladowań, mogą i bez cudu wystarczyć dla przekonania ludzi dobrej woli, że w tym Kościele żyje Bóg nieśmiertelny, i że kto z nim walczy, walczy z Bogiem samym. Niepotrzebne tam cuda, gdzie środki zwyczajne wystarczają, gdzie dobra wola i roztropność mogą każdemu ukazać, po której stronie jest prawda. »Ojcze Abrahamie — wołał bogacz dręczony w piekle, poszlij kogo z umarłych do domu ojca mojego, gdzie mam pięciu braci, aby im dał świadectwo i przestrzegł ich, żeby i oni nie przyszli na to miejsce mąk! — Mają Mojżesza i Proroki, rzecze Abraham, niechże ich słuchają! — Nie, Ojcze Abrahamie, to nie dosyć, ale gdyby kto z umarłych przyszedł do nich, to będą czynili pokutę. I rzekł mu Abraham: Jeżeli

Mojżesza i Proroków nie słuchają, by też kto i z martwych powstał, nie uwierzą«. — Tak i my powiemy: Jeżeli znaków prawdziwego Kościoła nie widzą i nauk jego i upomnień nie słuchają, by też kto jak Łazarz lub Piotrowin wstał z grobu, nie uwierzą. Przeciwnie, przybędzie im tylko złości, przybędzie odpowiedzialności przed Bogiem.

Spojrzyjmy teraz na dwór Heroda. Przed trzema trybunałami stawał Chrystus Pan: Kajfasza, Piłata i Heroda. Kajfasz był typem żydowskiej chciwości, Piłat politycznej ambicyi, Heród zwierzęcego używania. Właściwie wszyscy trzej pragnęli władzy i lękali się, by jej nie utracić. Kajfasz dla pieniędzy, Piłat dla rządzenia i znaczenia, Heród, aby służyć swemu brzuchowi i ciału. Z trzech typów, ten ostatni był najpodlejszy. Jak zwykle ludzie zmysłowi, Heród chciwy był wrażeń, szukał zewnętrznej ekscytacyi, gonił za tem, co go mogło zająć, zadziwić, rozśmieszyć,

rad był poznać Chrystusa Pana, o którym słyszał jak o wielkim cudotwórcy, obaczyć jakąś sztuczkę czarodziejską, wreszcie popisać się, że między swymi poddanymi zna człowieka tak niezwykłego, tak sławnego. Pomimo życia bydlęcego, jakie prowadził, nie był on pozbawiony pewnego rodzaju dowcipu i przebiegłości; sam Chrystus Pan nazywa go lisem. Miał się w istocie za rozumnego; w trudnem położeniu, w jakiem nieraz się znajdował między wymaganiami Rzymian a wstrętem Żydów do rzymskiego panowania, umiał się zręcznie wykręcać. W świętość, boskość Zbawiciela on nie wierzył; zbyt mądrym był we własnych oczach, aby miał podzielać przesądną cześć, jaką gmin niski dla Chrystusa Pana okazywał. Nie wątpił, że skoro Go zobaczy, zaraz Go swoją bystrością przeniknie, odgadnie. Dlatego z wielką uciechą przyjął Zbawiciela, skwapliwie, szczebiotliwie począł Go badać, wy-

pytywać, z różnych stron zaczepiał. Wszystko naprózno. Kajfaszowi Chrystus Pan zagroził sądem straszliwym po śmierci, Piłata ostrzegał surowo, ale miłosiernie, do zbydlęconegc, bezwstydnego Heroda nie odezwał się wcale, milczał. Obraziło to Heroda; nie spodziewał się tego. Wszelako nie chcąc się przyznać do obrazy, wolał sobie powiedzieć: Kiedy ten człowiek w mojej obecności nic nadzwyczajnego nie zrobił, choćby mógł przez to łaskę moją pozyskać i uwolnić się od Żydów, to widoczno, że nic nie umie, że nic nie może, to nędzarz jakiś, szaleniec, któremu udawało się swemi dziwactwami uwodzić gmin, ale wobec mnie naturalnie zmieszał się, stracił przytomność i milczy, bo nic powiedzieć nie jest w stanie. Więc pogardził Nim i przez szyderstwo kazawszy ubrać, jak ubierano obłąkanych, odesłał Go do Piłata.

Heród osądził miarą, na jaką go stać było. Rozumkiem ludzkim chciał

zgłębić, przeniknąć Chrystusa Pana i nie znalazł nic, coby było godnem czci i uznania; owszem, zdawało mu się, że to jakiś pospolity fanatyk, dla którego człowiek wyższy nad przesądy może tylko mieć pogardę. Zbrodnia to wielka ale i kara. A ileż to razy pod tę karę wpadają ludzie pyszni tego świata, którzy Kościół sądzą po swojemu i o nim wyrokują według tego, co się w ich mózgu pomieści i na co zdobyć się może ich serce. Kara straszna, zaślepienie, które swej ślepoty nie widzi, nie domyśla się i szydzi z tego, do czego wznieść się nie jest zdolne. Zaślepienie pyszne ale i bydlęce zarazem, i którego następstwem coraz większe zbydlęcenie, z którego już nic nie uleczy, bo się od niego Bóg odwraca. Grzesznik gardzi, gdy zejdzie aż na głąb grzechu swego. To jest najwyższy stopień zatwardziałości, która żyje spokojnie, pewna siebie, wyrzutu sumienia i głosu Bożego nie-

zna i nie słyszy, aż kiedyś po śmierci, w dzień sądu!

Z tego przykładu jakąż powziąść możemy naukę! Bo choć kto Boga nie wyszydza, lubi żartować i szydzić z tych, którzy stworzeni są na obraz i podobieństwo Boże, z bliźnich swoich. Może lubimy słabą stronę drugich podchwytywać, może umiemy tak zręcznie, tak dowcipnie brata naszego przedstawić, że w ustach naszych będzie on śmieszny i pod naszym ołówkiem portret jego stanie się karykaturą. Bez wątpienia nie czynimy tego z nienawiści, z pogardy, broń Boże, ani nawet z chęci dokuczania. Nie, — robimy, ot, tak sobie dla zabawy, bo nam to sprawia przyjemność, pośmiać się trochę z bliźniego, bo nam to schlebia, że inni z naszego dowcipu, a kosztem drugich, trochę się pośmieją. Prawda, nie jest to jeszcze zbrodnia Heroda, ale jednak w każdym nałogowym szydercy jest coś z natury Heroda, który szatę obłąkanego rzuca na

Chrystusa Pana. Nie będę opowiadał tutaj, jakie skutki sprawia w nas samych ów zwyczaj wyśmiewania, dowcipkowania, szyderstwa; przez jak fatalne następstwo umysł, który wciąż tem jest zajęty, aby z drugich wzorki zbierać i tworzyć karykatury, sam wpada w dziwną krzywiznę i staje się w końcu karykaturą. Ani nad tem zastanawiać się nie będę, jak szyderstwem szkodzi się bliźniemu w oczach drugich, jak serce jego rani się i zakrwawia, a własne sarce jak się wystudza i obniża; w jak opłakaną, śmieszną zależność od drugich wpadamy, my sami szukając ich śmiechu i poklasku, i jak rozum nasz goniąc za efektem, staje się płytki i pewierzchowny i nic już, nietylko głębiej, ale nawet poprostu zrozumieć i osądzić nie może. Szyderca, bywa to zazwyczaj za młodu lekkomyślny, a że sam śmiechu i sądu ludzkiego niezmiernie się boi, w swem postępowaniu giętki i zmienny, w zdaniu

chwiejny, zdania on nie ma, jego zdanie zależy od tych, co go otaczają i coby z niego zażartować mogli. Później wzrasta on na człowieka zimnego, egoistę, materyalistę, który śmieje się ze wszystkiego, prócz tego, co się własnej jego osoby tyczy! Ale o tem wszystkiem obszerniej nie mówię, na jedno tylko zwrócę uwagę i tego, co lubi z bliźnich szydzić, zapytam: jaki jest twój stosunek z Bogiem? — Szyderca nie umie się modlić. To niedość, że mnóstwo roztargnień, mnóstwo konceptów zabawnych lub złośliwych snuć mu się będzie po głowie w czasie modlitwy; ale nawet choćby się zdobył na jakie chwilowe skupienie, głęszej, serdecznej modlitwy mieć on nie będzie do Boga, ale w duszy jego będzie czczo, sucho i pusto. W sercu swojem nie poczuje Boga; i chociaż w miłosierdziu swojem Pan nie odwróci się jeszcze od niego zupełnie, to jednak milczeć będzie, jak wobec

Heroda! I to jest słuszną karą za jego niby niewinne szyderstwa.

To jedna uwaga, a druga dla tych, którzy się lękają być przedmiotem żartów i szyderstwa. Nieraz, na nieszczęście, w ludzkich towarzystwach panują zwyczaje Herodowego pałacu, i niejeden z nas znaleść się może w takiem otoczeniu, gdzie śmiać się będą i szydzić z tego, co mamy za święte, i co jest świętem rzeczywiście. Niejeden, gdy zechce zachować zwyczaj pobożny, gdy pragnie być i okazać się wiernym w pełnieniu przykazań Bożych i Kościoła, usłyszy jakąś drwiącą uwagę, jakiś żart bolesny, albo spotka go uśmiech pogardliwy. Cóż wtedy czynić mamy? Za słabi jesteśmy, by w obronie prawdy stanąć głośno. Brak nam światłości, brak wreszcie i potrzebnej powagi. Wreszcie młodemu nie przystoi bawić się w cenzora, ani drugim, zwłaszcza starszym, nauk dawać. Więc cóż robić? Może ugiąć się, zaczaić, a może i wyprzeć się

tego jawnie, co w sumieniu wyznajemy? Broń nas Boże, byłoby to zaparcie Piotrowe! Uczyńmy to, co Chrystus Pan uczynił. Wszek on nie starał się przekonać ani zawstydzić Heroda — milczał. I my także w takich razach zamilczmy. Milczeniem naszem, gdy co innego zrobić nie wypada, zasłonimy godność naszą, zasłonimy sumienie, i jeszcze wedle sił naszych służyć będziemy prawdzie. Ciche i poważne milczenie, — ale nie pogardliwe, o nie, owszem litosne, — nieraz łatwiej przekona; może ostrzeże, może przebłaga tych, którychby nasz dowcip i nauka tylko rozdrażnić mogły. Milczmy słowem, mówmy czynem. To najlepsza w takich razach odpowiedź i najskuteczniejsze zarazem apostolstwo.

V.

Chrystus Pan w Pretoryum Piłata.

Rzekł Chrystus Pan do Piłata: Jam na to się narodził i na tom przyszedł na świat, abym dał świadectwo prawdzie. Wszelki, który jest z prawdy, słucha głosu mego. A cóż jest prawda? zapytał Piłat. I to wyrzekłszy, wyszedł do Żydów. Piłat postawiwszy to pytanie, nie czekał odpowiedzi, nie był jej ciekawy. Ale odpowiedź mimo to znalazła się. Co jest prawda i czem jest człowiek bez uczucia prawdy? Na te pytania Piłat sam dał odpowiedź w swojem zachowaniu się względem Chrystusa Pana i Żydów.

Rozważmy naprzód to pierwsze słowo Chrystusa Pana: »wszelki, który jest z prawdy, słucha głosu mego«. Na pierwszy rzut oka wydaje się ono dziwnem i raczej chciałoby się posłyszeć, że ten, co słucha głosu Bożego, przychodzi do prawdy; i tak jest rzeczywiście: *fides ex auditu*, wiara z opowiadania i ze słuchania. Ale niemniej dlatego, i owe orzeczenie Chrystusa Pana: »Kto jest z prawdy, słucha głosu mojego« zawiera myśl prawdziwą, głęboką i w życiu naszem ma szerokie zastosowanie. Bo nie każdy, co usłyszy prawdę, gotów ją przyjąć, trzeba mieć do tego odpowiednie, uprzednie usposobienie. Aby prawda, która z wewnątrz przychodzi, weszła w naszą duszę, musi w niej o coś się zaczepić, nad czemś się zatrzymać, inaczej, spłynie jak woda po kamieniu. Musi być w nas coś, co odpowiada w jakikolwiek sposób tej prawdzie, jakieś pokrewieństwo z nią, a przynajmniej pragnienie jej poznania. Do tego po-

trzeba dobrej woli, prostoty i choćby tyle pokory, iż się przypuszcza, że czegoś nowego można się dowiedzieć, nauczyć. Inaczej daremno i słuchać. Ale trzeba czegoś więcej. Jak ciało ma swoje organa, to jest zmysły, przez które wrażenia ze świata zewnętrznego przyjmuje, a bez nich byłoby najzupełniej martwe, tak i dusza ma organ sobie właściwy do pojęcia i przyjęcia prawdy, a tym organem jest zmysł prawdy. Dobrze jest o tem wiedzieć i pamiętać. Bo nieraz się zdarza, że wytłómaczywszy drugiemu zasady naszej wiary, które dla nas są jasne i niewątpliwe, a on ich mimo to nie rozumie, nie możemy go przekonać, co gorsza, sami wychodzimy z tej dyskusyi zmęczeni, rozstrojeni i jakby powątpiewający. Niesłusznie, bo ta niemoc jego do przyjęcia prawdy, dowodzi tego tylko, że jego duszy brak najważniejszego organu, zmysłu prawdy religijnej. Dla prawd chrześciańskich, nadprzyrodzonych, szuka on dowodów ma-

tematycznych, przyrodzonych i oczywiście ich nie znajduje. Takie prawdy muszą mieć echo w sercu, a wtedy całe życie ich dowodzi. Lecz w kim panuje fałsz i nawyknienie do kłamstwa, kogo zaślepia i otumania pycha, lub kogo spodliła rozpusta, w tym ów zmysł wewnętrzny, zmysł religijny istnieć w żaden sposób nie może, ten żadnego dowodu nie przyjmie, nie zrozumie i choćbyś najjaśniej mu tłómaczył, zawsze wątpić będzie. Po wszystkie czasy to wiedziano, że ludzie fałszywi, pyszni i rozpustni zawsze gotowi są przeczyć chrześciaństwu i przeciw niemu się związać. Stracili zmysł prawdy i wiara nasza wydaje im się takiem samem kłamstwem, jak ich własne życie.

I oto jakie ma znaczenie słowo Chrystusa Pana: »kto nie jest z prawdy, ten nie słucha głosu mego«. Ale dlaczego Pan Jezus powiedział te słowa do Piłata? Było to upomnienie dane jemu: niema w tobie prawdy i dla-

tego próżno do ciebie mówić; głosu mego nie zrozumiesz i nie przyjmiesz. A jednak Piłat był człowiekiem wysoko wykształconym, inaczejby go Tyberyusz na tak znaczne stanowisko gubernatora Palestyny pewno nie był wysłał. Snać, że wykształcenie nie wystarcza do zrozumienia prawdy, jak z drugiej strony widać także, że nie jest koniecznie potrzebne, aby przyjąć słowo Boże i wiernie je wypełniać. Piłat złośliwym nie był, nie widać w nim zemsty, zawziętości, chęci pastwienia się nad obwinionym, która w Żydach tak uderza, ale też i miłości dobrego w nim nie widać: był obojętny. Właściwie chodziło mu tylko o stanowisko, o karyerę, a że ta zależała od Tyberyusza, więc pełnić wolę Tyberyusza i jemu się podobać, to było dla niego regułą życia, jedyną, jaką przypuszczał prawdą. Rozkaz Cezara był dla niego sumieniem, jak dla tylu innych i przed nim i po nim! Wyższych celów, niewzruszonych za-

sad nie miał i nie potrzebował, w nieśmiertelność duszy nie wierzył, jak cała inteligencya rzymska. Nieśmiertelność duszy, a na co to się przyda? komu źle na świecie, niech się nią pociesza; dla Piłata ta pociecha była zbyteczna, był kontent ze swego losu. On widział tylko siebie, więc choć prawda, żywa prawda, stała przed nim, on pytał o nią. Ileż to jest takich ludzi, którzy prawdy, rzeczywistości, nigdy dostrzedz nie mogą, bo mają własną osobą zasłonione oczy! Posłyszał Chrystusa mówiącego o prawdzie, zdziwił się jak rzeczą nową, ale cóż te pomysły żydowskiego marzyciela mogły obchodzić. »Mówisz o prawdzie, cóż jest?« Więc zrobiwszy to pytanie, nie słuchał co mu Chrystus odpowie: on wiedział zgóry, że prawdy nie ma, i że nie warto o nią się troszczyć.

Co jest prawda i czy jest prawda? Takie pytania wiecznie będą cechować ludzi bez wiary i epoki bez

wiary. — Może kto i powie sobie z cicha: Bodaj, czy Piłat nie miał racyi? Można w teoryi rozprawiać o prawdzie absolutnej, ale w praktyce ona zależy od stanowiska, z którego patrzymy na rzecz: ze zmianą punktu widzenia zmienia się nasz sąd, zatem i prawda. Ile systemów filozoficznych, tyle różnych sposobów pojmowania prawdy. Prawd jest tyle, ile interesów na świecie; z ustaniem interesu i prawda się kończy. Prawd jest tyle, ile narodów i rządów; ze zmianą południka geograficznego zmienia się prawda. Prawd jest tyle, ile wiar i kościołów, które się nawzajem wykluczają; jakże więc tu gadać o absolutnej prawdzie. A są wyznania, czy sekty, które w to każą wierzyć, że w nic wierzyć nie trzeba: nihilizm, to przecież bardzo znacząca naszych czasów sekta. A więc prawdy bezwzględnej nie ma, są tylko opinie, prawdy warunkowe. Wszędzie jest trochę prawdy i trochę złudzenia.

Prawda jest w odcieniach i tylko umysły ciasne, jednostronne i fanatyczne upierają się widzieć prawdę w tem jedynie, co same wyznają. Przeciwnie, umysł wyższy, jasny, nieuprzedzony, każdej religii, jak każdej opinii, przyzna w pewnej mierze słuszność, na każdą patrzeć będzie z pobłażaniem, a nawet ze współczuciem, ale z żadną z nich nie zwiąże się stanowczo i nieodwołalnie. I słusznie, bo kto nie wierzy w Boga, jak On się sam objawił, jakże może dojść do prawdy pewnej, niewątpliwej, nie zmieniającej się nigdy? Tylko Chrystus powiedział o sobie, że jest prawdą, czego żaden filozof, żaden twórca religii wyrzec o sobie nie śmiał; On powiedział, że nietylko jest prawdą, ale i drogą i życiem. Po za Nim, jak nie mamy żadnego *criterium* do sądzenia, tak nie mamy żadnej reguły niezmiennej w postępowaniu i życiu. Dla kogo Chrystus nie jest prawdą najwyższą, obejmującą wszystkie

czasy, wszystkich ludzi i wszystkie możliwe zdarzenia, ten chwiać się będzie tam, gdzie tylko mocne przekonanie człowieka wyratować może, i stanie bezsilnym wobec kłamstwa, które mu się z góry narzuci. Alboż nie widzimy tego codzień, że ci, co słabo wierzą, zawsze ulegają tym, co zaprzeczają mocno, to jest tym, którzy w nic nie wierzą. Podobnież, dla kogo Chrystus nie jest jedyną drogą w życiu, o tym nigdy pewnym być nie można, jak on sobą pokieruje i co dla siebie wybierze, albo raczej można być pewnym, że choćby był obdarzony mnóstwem zdolności, nauki, zasobów, nie wytrzyma przeciwności i silniejszej pokusie oprzeć się nie zdoła. I tego właśnie dowodem jest Piłat. Mamy w nim obraz człowieka, który stał wysoko pod względem intelektualnym, socyalnym i politycznym, był rządcą znacznego kraju, który nie był pozbawionym pewnych moralnych zalet, był dobrym mężem, miał trochę

uczucia litości, a nawet pewną sprawiedliwość, a pomimo to wszystko, dlatego tylko, że nie wiedział, co prawda i o nią się nie troszczył, wobec ciągłych zaprzeczeń, żadnego sądu wyrobić sobie nie mógł, przy żadnej decyzyi utrzymać się nie umiał i wkońcu popełnił najstraszliwszą zbrodnię. Lecz bądźmy sprawiedliwi, nie odrazu to uczynił, bo też nikt odrazu nie spada na sam dół. Owszem, bronił się, zasłaniał, ale jakże bronić się i stać mocno, kiedy pod nogami grunt spadzisty; więc zsunął się powoli, aż skończył na tem, co wprzód potępiał, przed czem wzdrygał się najmocniej. Warto przypatrzyć się temu stopniowaniu w złem, temu zsuwaniu się w dół, warto, bo od czasu Piłata, nieraz jeden ta nieszczęsna historya się powtórzyła i jeszcze się powtórzy, i do niejednego możnaby powiedzieć: *mutato nomine de te fabula docet;* odmień nazwiska, a twoje to dzieje.

»Ja żadnej w Nim nie znajduję winy«, rzekł Piłat po pierwszej rozmowie z Chrystusem. Człowiek wierzący, to jest bojący się Boga, byłby na tem poprzestał. Byłby sobie powiedział: niech się Żydzi złoszczą jak chcą, ja tego człowieka wbrew sumieniu skazać nie mogę; i byłby Jezusa uwolnił. Ale Piłat myślał o sobie, bał się zatargu z Żydami i chciał wiedzieć, co też mu oni na to jego słowo powiedzą. I to był pierwszy jego błąd, początek kłopotów, w jakie sam się swą słabością uwikłał«. A oni mnóstwo podawali zaskarżeń«, na które Jezus milczał. »Podburza ludność w całej Judzkiej ziemi, począwszy od Galilei«. »Piłat posłyszawszy, że Jezus jest Galilejczykiem, ucieszył się w mniemaniu, że wyszedł z trudności. Galilea należy do Heroda, Jezus jego jest poddanym, niechże on Go sądzi. To będzie sposób uwolnienia się od niemiłej sprawy, a przytem Heród będzie rad, że rządca rzymski jego

władzę szanuje. Ale Heród zbyt szczwanym był lisem, aby brać na siebie odpowiedzialność, której pretor rzymski unikał; więc grzecznością płacąc za grzeczność, odesłał Jezusa napowrót Piłatowi. Pokazuje się, że na nic się nie przyda wykręcać się od niemiłego obowiązku; wróci on i z tym większym naciskiem. Wrócili i Żydzi jeszcze bardziej rozdrażnieni tą polityką Heroda. Rzecze Piłat: »Przywiedliście mi Tego człowieka, jakoby lud buntował, ja badając Go w oczach waszych nie znalazłem w Nim nic z tego, o co Go oskarżacie; lecz i Heród nie widział w Nim nic godnego śmierci. Więc każę Go ubiczować i wypuszczę«. Cóż za osobliwsza logika! Jeżeli niewinny, na cóż Go biczować? Ale to był wybieg polityczny: koncesyjka dla Żydów, aby im dać pewną satysfakcyę, i tak sprawę załagodzić.

Pierwej jednak, zanim przyszło do tego fatalnego biczowania, nasunęła się okoliczność, która mogła sprawie

nadać kierunek pomyślny. Przyszła do Piłata deputacya z żądaniem, aby jak to bywało co roku, wypuścił im, na pamiątkę Paschy, jednego z więźniów. Umyślił skorzystać z tej sposobności, aby ocalić Jezusa. »Jest zwyczaj, rzecze on do Żydów, że co roku w święto Paschy, oddaję wam jednego z więźniów, któregoż chcecie abym wam wypuścił: Jezusa czyli Barabasza?« To pytanie jakkolwiek w dobrym zamiarze postawione, miało w sobie grzech podwójny: naprzód, że Piłat stawiał Jezusa na równi z Barabaszem; powtóre, że zamiast odrazu uwolnić Jezusa, jak mu się do tego nadarzała sposobność, zapytywał Żydów. Rozumiał, że Żydzi mając do wyboru między łotrem głośnym ze swych zbrodni a Jezusem, któremu nic złego nie można było udowodnić, nie będą się wahali, i że on w ten sposób ocali Jezusa, a na Żydów spadnie odpowiedzialność. Był to zręczny sposobik. Ale Bóg nie chce, abyśmy

Go zręcznością bronili, On żąda prawdy, jawnego jej wyznania, wierności dla niej. Zręczność, jest to pewien sposób dojścia do celu, bez przyjęcia na siebie odpowiedzialności. Z takiej zręczności, która ma zastąpić odwagę, nieprzyjaciel tylko zazwyczaj korzysta.

Kiedy Żydzi namyślali się nad zadanem im pytaniem, inna okoliczność uderzyła Piłata. Żona jego miała sen, w którym widziała Chrystusa cierpiącego, i przysłała mężowi ostrzeżenie, aby nie dozwolił, iżby się jakaś niesprawiedliwość stała Jezusowi, bo inaczej jemu samemu wyjdzie to na złe. Że to był sen od Boga, na to się wszyscy zgadzają; ale skąd on był, o to Piłat nie pytał; dość że to był sen, coś niezwykłego, i to go wzruszyło. Jak tu natura ludzka trafnie schwycona. Czyż potrzeba była sennego widziadła, aby bronić Jezusa; czyż sama sprawiedliwość i rozsądek nie wskazywały tu drogi postępowania. Rzecz to wia-

doma, kto nie wierzy w prawdę, wierzy w gusła, sny, widziadła, bo wierzyć zawsze w coś potrzeba. Wiara się nigdy całkiem nie traci, ona się tylko przenosi, przestawia. Lada czarnoksiężnik, lada szarlatan porwie jego umysł, zdobędzie przekonanie, i człowiek taki, w tej samej chwili, w której gardzi przykazaniem Bożem, słuchać będzie pukania kręcącego się stolika!... Bądź co bądź, Piłat powziął decyzyą uwolnić Jezusa, tylko że ta decyzya tyle miała trwałości, co jej przyczyna, senne widziadło. Tymczasem książęta kapłanów uwijali się między pospólstwem, aby żądało uwolnienia Barabasza. Nie potrzebowali długo nad tem pracować. Tłum wrzeszczący na ulicy i gotowy do rozruchów, ilekroć będzie miał do wyboru między mężem sprawiedliwym a łotrem z profesyi, zawsze tego ostatniego wybierze. Jest między motłochem ulicznym a Barabaszem pewne pokrewieństwo duchowe; wybór nie

może być wątpliwy. »Wypuść Barabasza« wołali. »A z Jezusem co zrobię? »Ukrzyżuj Go!« — »Cóż On złego uczynił, aby miał być ukrzyżowany? Więc go ubiczuję i wypuszczę«.

Zapowiada, że Go wypuści, lecz słucha zaraz, co mu lud odpowie. Pospólstwo wniosło stąd to tylko, że Piłat się go boi i nabrało przekonania, że natarczywością zdobędzie na nim wszystko. »Ukrzyżuj Go, ukrzyżuj« wołali coraz głośniej.

Biczowanie poprzedzało śmierć krzyżową, ale jej nie pociągało za sobą koniecznie. Boć i Piotr był ubity i Paweł trzykroć biczowany, dużo pierwej, zanim obaj życie swe dali. To też Piłat nie myślał jeszcze tym aktem wydawać Jezusa na śmierć; chciał tylko, jak wspomniałem, dogodzić w części Żydom, a w zamian otrzymać od nich uwolnienie Jezusa. Jakoż, gdy Jezus był tak zsieczony, że ciało Jego odpadało kawałkami, gdy Mu wieniec cierniowy poranił

głowę okrutnie, gdy z rękoma związanemi, z łachmanem purpury na plecach, oplwany i cały krwią płynący, stanął przed Piłatem, raczej jako robak zgnieciony, niż jako człowiek. Piłat wzruszony tym widokiem, powiódł Go na schody i ukazał go Żydom. »Oto przyprowadziłem wam człowieka, abyście widzieli, że ja żadnej w Nim nie znajduję winy!« Po raz czwarty ogłasza niewinność Jezusa i chce o niej przekonać Żydów, ale się zawiódł i tym razem. Jest w człowieku straszna żądza pastwienia się nad bliźnim, gdy raz pocznie go krzywdzić, nie ustanie, aż dokona jego zagłady. *Tolle, tolle, crucifice eum* — wołali z wściekłością. Była to ciężka próba dla Piłata. Ile w nim jeszcze pozostało sumienia, już bardzo nadwątlonego, poczynionemi ustępstwami, wzdrygnęło się na myśl tak nieprawnego wyroku. »Jakże ja mam niewinnego krzyżować, zawołał z oburzeniem, weźcież Go i ukrzyżujcie sami«.

»Nam zabijać niewolno, odpowiadali Żydzi: a mamy zakon i wedle zakonu umrzeć powinien, iż się mienił być Synem Bożym«. Skoro to Piłat posłyszał, jeszcze bardziej się przeląkł. A może w istocie ten człowiek tajemniczy jest synem jakiegoś Bożka, z którym Bóg żydowski wojuje; i on mścić się na mnie będzie. Bierze więc Jezusa na stronę i pyta go z niepokojem: »Skąd Ty jesteś?« Jezus milczał. »Nie odpowiadasz mi; czyż nie wiesz, że mogę Cię ukrzyżować i mogę Cię uwolnić«. »Nie miałbyś tej władzy nademną, gdyby ci z góry nie była daną. Przeto ten, który mnie wydał w ręce twe, większy grzech mieć będzie«. Piłat nie zrozumiał tej odpowiedzi, ale poczuł, że tu jest coś nadziemskiego i tembardziej umocnił się w postanowieniu, aby Go ocalić. Z tem wyszedł do Żydów.

Tu z innej strony padł nań strach. Z przewłok Piłata i z jego odpowiedzi, Żydzi nie wątpili, że chce wy-

puścić Jezusa i to ich doprowadzało do wściekłości. Więc nietylko żądali śmierci Jezusa, ale i Piłatowi poczęli już grozić. »Jeżeli Go uwolnisz, nie będziesz wiernym sługą Cezara«. Ta groźba skutkowała odrazu; na myśl, że się Cezar na niego pogniewa, zdecydował się wydać im Jezusa. Żeby jednak pokazać, że zdania swego nie zmienił, kazał podać wody i w oczach ludu umył sobie ręce: »Nie jestem ja winny krwi tego sprawiedliwego«.

Straszna to chwila. Po raz szósty Piłat ogłasza Chrystusa niewinnym i — wydaje Go na śmierć. Nieszczęsny człowieku, ta komedya umycia rąk nie uniewinnia ciebie, ta woda nie zmyje z rąk twoich krwi tego sprawiedliwego; one na wieki krwią będą oblane i w dzień sądu powszechnego, krwi tej Sędzia straszliwy poszukiwać będzie na twojem ciele i na twojej duszy. Na to Bóg ci dał władzę, abyś jej użył w obronie sprawiedliwości. »Nie miałbyś tej

władzy, gdyby ci z góry nie była dana«. »Kto nie umie wytrzymywać prześladowania, niechaj nie pragnie być sędzią«, mówi Mędrzec Pański. A iżeś z bojaźni, wbrew sumieniu osądził, imię twoje do skończenia wieków napiętnowane będzie hańbą: *umęczon pod Pontskim Piłatem*, i u wszystkich narodów pozostanie przysłowie, że gdy kto z podłego tchórzostwa, odstąpi od swego obowiązku, powiedzą o nim: *umył sobie ręce jak Piłat!*

Zbierzmy raz jeszcze w jednym zarysie wszystkie właściwości charakteru Piłata. Nie był on pozbawiony serca, miał pewne spółczucie dla Jezusa, wzruszył się gdy zobaczył, jakim Jezus wyszedł z męki biczowania. Tajemnicze, pełne mądrości odpowiedzi Zbawiciela, choć ich nie zupełnie pojmował, budziły w nim cześć dla Niego. Słysząc o Jego Boskiem pochodzeniu, obawiał się, nie chciał Go sobie narazić. Nie wątpił o Jego niewinności, widział

dowodnie, że jest ofiarą intrygi i złości starszych żydowskich, a im bardziej nimi pogardzał, tem skwapliwiej pragnął uratować Jezusa. Raz, czy dwa razy najmocniej to sobie postanowił, wreszcie, ulegając Żydom, gotów był przyzwolić, by oni sami zrobili z Nim, coby chcieli, byleby on, Piłat, nie miał Jego śmierci na sumieniu. Cokolwiek zręczność i wymowa mogły mu nastręczyć, aby ułagodził żydowską zawziętość, wszystkiego użył. Szarpany, chwiejący się, to na tę, to na ową decydujący się stronę, ale jednak nie chcący ustąpić, tylko zewnątrz wyglądający poparcia, od chwili, gdy posłyszał, że Cesarz może go podejrzywać o nieprzychylność ustąpił odrazu. A dlaczego? Człowiek, który nie ma w sobie zmysłu prawdy, będzie zawsze bezsilny wobec siły brutalnej. Ludzie sceptyczni najprędzej dają się przekonać kijem; dla takich, co wątpią o wszystkiem, kij sam jeden bywa argumentem nie-

przepartym, prawdą nieomylną. Na nic się nie przydadzą talenta i doświadczenia, bogactwa i zaszczyty, na nic, usposobienie zimne i pogardliwe, na nic nawet niektóre dobre przymioty umysłu i serca — wszystko napróżno — do czasu to ich zasłaniać, a drugich łudzić może; jeśli się nie oprą na prawdzie, na przykazaniu Bożem, nie ostoją się w twardej próbie i runą w bezdeń podłości!...

I oto odpowiedź na pytanie: co jest prawda, odpowiedź, której Piłat nie był ciekawy, a dał ją sam bezwiednie, i na to drugie pytanie: czem jest człowiek bez prawdy w duszy.

Lecz czy zabijając swą duszę i hańbiąc się na wieki, Piłat ubezpieczył przynajmniej na tym świecie swą karyerę, dla której sumienie poświęcił? Bynajmniej. Odwołany, skazany na wygnanie do Galii, tam wzgardzony i zapomniany, z rozpaczy odebrał sobie życie jak Judasz.

Jest i w tem logika. Po co miał żyć dłużej, skoro jego karyera, jedyny cel życia, złamana na zawsze. Chrześcianin wie, po co ma żyć: po to, aby służył Bogu i świadczył prawdzie: dolą czy niedolą, u władzy czy na wygnaniu, i doczekał się po śmierci, lepszego życia. Tego Piłat nie rozumiał, jak nie rozumieją ci wszyscy, dla których prawdy bezwzględnej, najwyższej, niema na tym świecie.

A czyż i Chrystus Pan nie skończył okropnie? — To prawda, i śmierć Zbawiciela daje nam naukę o prawdzie, a jakże wymowną i jak przytem bolesną! — Piłat skończył haniebnie, bo był człowiekiem bez prawdy, lecz i Chrystus także skończył śmiercią haniebną, chociaż był prawdą. Czy można sobie wyobrazić, biorąc rzecz tylko po ludzku, życie piękniejsze, szlachetniejsze, obfitsze we wszelkiego rodzaju usługi dla bliźnich nad życie Chrystusa? Ileż dobrodziejstw, wyświadczonych lu-

dziom, ile pomocy w chorobach, kalectwach i nieszczęściach, ilu ludzi przywiedzionych ku lepszemu życiu, ilu umocnionych w dobrem, ile rad i przestróg pełnych najwyższego rozumu i miłości! A jaka przytem słodycz, cierpliwość, wyrozumiałość i jaka pokora! *Pertransiit benefaciendo.* I cóż Go za to spotkało? Bezprzykładna nienawiść. — A za co? Mógłże głosić prawdę nie potępiając kłamstwa, mógłże kochać dobre, a na złe być obojętnym, chociaż złych zawsze starał się poprawić. I oto po trzech latach największego trudu, tyle na siebie wywołał złości, zawiści i zemsty, tylu i tak potężnych skojarzył przeciw sobie nieprzyjaciół, że Go pojmali i jak ostatniego osądzili zbrodniarza. Ci, co Go dawniej wielbili i wdzięczność swą i miłość Mu okazując, co Mu śpiewali *Hosanna*, odwrócili się od Niego i naraz wśród tego ludu, co Go przed chwilą chciał ogłosić królem, Jezus stał się gor-

szym od Barabasza. Przelęknieni uczniowie i przyjaciele, jedni zdradzili Go lub wyparli się, drudzy znikli bez wieści, i gdy Go tysiące i tysiące przed Piłatem oskarżało, nie znalazł się nikt, coby życzliwe dał Mu świadectwo. A kiedy skazanego prowadzono na stracenie, któż szedł za Nim? Jego matka, kilka niewiast i jeden uczeń. Oto wdzięczność jakiej doznał, oto plon jaki zebrał, oto koniec jaki spotkał najświętszego z ludzi. Los Piłata, jakkolwiek straszny, ani w połowie tak okrutny jak los Jezusa!

Jest to dowodem, jak prawda kończy na tym świecie i jakby zawsze musiała kończyć, gdyby nie było siły, która ją dźwiga z tamtego świata. Gdyby Chrystus nie był Bogiem, gdyby nie był zmartwychwstał i Duchem Ś. nie pokrzepił uczniów swych i Apostołów, gdyby dalej mocą swoją z tamtego świata nie był umocnił owej mnogości wyznawców, którzy w najsroższych męczarniach świad-

czyli prawdzie i swą odwagą i stałością skruszyli złość jego nieprzyjaciół — cóżby nam do dziś dnia zostało z Jego nauki, z Jego przykładu i z Jego ofiary? Nic, prócz wspomnienia historycznego, jak o Sokratesie lub innych mędrcach starożytnego świata.

A ów lud szczęśliwy, stokroć godny pożałowania, któremu wściekła nienawiść podszepnęła to najfatalniejsze zaklęcie: Krew Jego na nas i na nasze syny! Bóg usłyszał to słowo i potwierdził je. Od ośmnastu wieków krew ta ciąży na potomstwie tego ludu i ściga je zemstą nieustającą. Ileż tajemnic, ileż sprzeczności w życiu, w charakterze, w cierpieniach, w historyi tego narodu, których niczem nie wytłómaczy, jedno tą klątwą straszliwą. Ziściły się na nim owe tak przerażające zapowiedzi, jeszcze przez Mojżesza wyrzeczone. Najdziwniejsze, najmniej do wiary podobne choroby dręczą ten lud i każda zaraza, która gdziekol-

wiek spadnie, jego przedewszystkiem dziesiątkuje. Od wieków żenią się oni i pomnażają z tak zadziwiającą płodnością, że powinniby, zda się, świat cały oddawna zapełnić, a tymczasem nigdy nie mogą przekroczyć tej liczby, jaką wynosiła ich ludność za czasów państwa judzkiego, około ośmiu milionów. Napróżno lichwą, giełdą i gorączkową pracą dobijają się majątku, drugich rujnują, siebie nie bogacą; choć się znajdzie między nimi kilku milionerów, miliony za to nędzarzy; choć sobie zdobędą na chwilę pieniężną przewagę, zawsze jakaś katastrofa niespodziana rozchwieje ich moc, zburzy ich fortuny. Napróżno, gdziekolwiek zajdą, a cisną się wszędzie, skwapliwie przyjmują język, ubiór, rodzaj życia mieszkańców, zawsze pozostaną tułaczami, wszędzie obcy, wszędzie wzgardzeni i wszystkim służąc ze wszystkimi będą w wojnie; wloką swój nędzny i spodlony żywot, nie czując nawet tej podłości. Napróżno

prawodawstwo nowoczesne i indyferentyzm nowoczesny równają ich i jednoczą z chrześcianami w duszy ich i na twarzy pozostanie zawsze tożsamo piętno, zawsze będą ciż sami, jak byli przed wiekami, jak byli w Jerozolimie, a dlatego, aby zawsze służyli na świadectwo Męki Pańskiej. I nic, i nic, tylko woda Chrztu św. potrafi zmyć z ich głowy i z ich duszy ślady tej krwi, jak i z ich dziejów fatalność tego przeznaczenia, które wyryła na nich okropna klątwa: Krew Jego na nas i na nasze syny!



VI.

Biczowanie.

Nic treściwszego, jak Ewangelia. Żadnego słowa napróżno; nic dla ozdoby, dla wrażenia. Prościej i krócej powiedzieć nie można: »Tedy Piłat wziął Jezusa i ubiczował«. Wydaje się to nam za sucho; chcielibyśmy czegość więcej, aby rzecz lepiej zrozumieć, pobożną ciekawość nasycić. »I ubiczował« — i nic więcej! Albo później — »i ukrzyżowali Go«, i na tem koniec. Serce i umysł chciałyby się tutaj zatrzymać, każdą okoliczność tej przestrasznej męki widzieć, rozważyć, zba-

dać; ewangelista przechodzi dalej, jakby rzecz najzwyklejszą opowiadał. Dlaczegoż tak?

Słowo Boże krótkie jest; mądrości i mocy Pańskiej tak przystoi; tylko słabość ludzka musi odziewać się w długie peryody, szukać siły w malowniczych przydatkach. Tego Majestatowi Bożemu nie potrzeba. Słowo Pańskie, jak strzała przenika człowieka; nietylko na umysł działa, ale na serce i duszę; jego przeznaczeniem wszystkie władze nasze ogarnąć, zapanować w całem jestestwie. Niedość więc je przeczytać, trzeba się w niem zagłębić, użyć wszystkich zasobów ducha, aby nas przejęło; obszerna mowa nie służyłaby ku temu. Lecz jest jeszcze i inna przyczyna tej krótkości. Ewangelia wprawdzie opowiada, co się działo; często jednak, jeżeli fakt był opowiedziany przez Proroków, przestaje tylko na stwierdzeniu, że tak się stało, *ut impleretur scriptura,* aby się Pismo wypełniło. Sam Chry-

stus Pan nazywa Proroków niejako historykami swego życia, którzy jego dzieje spisali, zanim przyszedł na świat: *Sicut scriptum est in Lege, Prophetis et in Psalmis de me;* »jako opowiedziane jest o mnie w Zakonie, w Prorokach i Psalmach«. Męka Pańska, zwłaszcza też biczowanie, opowiedziane było przez Proroków, szczególniej przez Izajasza. Te proroctwa były wszystkim znane i Ewangelia przypomina tylko, że się spełniły. Przeto, aby znać szczegóły biczowania, więcej niż mówi Ewangelia, dość zebrać teksta Starego Testamentu, które się do niego odnoszą.

Skoro Chrystus Pan wydany był w ręce katów, odarli Go z szat i nagiego przywiązali do słupa. Dawid powiada o Nim: »Zawstydzenie pokryło oblicze moje«. Jaki wstyd dla Boga, Pana wszechstworzenia, który każdą ptaszynę w pierze, każdą roślinę w liście i kwiaty obleka, być wystawionym w całej nagości na wi-

dok tłumów, ścigających go swem spojrzeniem, kłujących śmiechem i szyderstwem. »I wszyscy patrząc na mnie, dodaje Psalmista, śmiali się ze mnie, mówili usty, potrząsali głową!« Jakież to pohańbienie dla najczystszego ze świętych, dla Tego, który jest wonią i kwiatem cnoty dziewiczej. Wszak niejeden wolałby pewno śmierć ponieść, niż znaleść się w podobnem położeniu! A ten wstyd i to pohańbienie o ileż więcej uciskały duszę Zbawiciela, że On w tej chwili wycierpieć musiał wszystkie bezwstydy, wszystkie sprosności, wszystkie rozpusty nasze i całego rodu ludzkiego. W czem przez wieki i wieki ludzie grzeszyli przeciw świętemu wstydowi, w czem każdy z nas w ciągu swego życia przeciw tej cnocie uchybił, wszystkie nasze myśli brudne, bezecne zachcenia, plugawe słowa i uczynki, to wszystko żgało, paliło w owej chwili duszę Zbawiciela, to wszystko rzucaliśmy na Jego głowę, a On za to

swojem pohańbieniem płacił Ojcu Swemu. A jak wówczas cierpiał, tak i dzisiaj cierpi jeszcze przez nas. Każdą myślą sprosną, nad którą się dobrowolnie zatrzymujemy i której przez modlitwę nie odpędzamy, każdą nieprzyzwoitością i bezwstydem naszym ponawiamy tę Mękę Zbawiciela, zdzieramy szaty z Jego ciała, i w hańbiącej nagości stawiamy Go po raz wtóry przed oczyma szyderców.

I poczęli go smagać. Nie wiemy, jakich narzędzi do tej kaźni użyto. Liktorowie rzymscy nosili pęki rózg; na wschodzie bywały te rózgi z drutów metalowych, albo kręcone z cienkiego sznurka lub rzemienia, zakończone twardym węzłem, albo kulką, albo żelaznym szponem. Pod okrutnem biciem ciało nabrzmiało, zsiniało i pod cięciami krew poczęła się dobywać; i grzbiet i boki i piersi były razami zorane. »Od stóp aż do wierzchołka głowy, mówi Izajasz, niema w Nim miejsca zdrowego;

rana i siność i krwawa nabrzmiałość«. Całe ciało zalało się krwią, jakby u człowieka zdartego ze skóry. »Rany na ranie rozdzierają«, mówi Job, i choć już bić niema gdzie, bo zewsząd krew płynie, jednak, mówi Psalmista, »do ran nowych boleści przydają«. Już jak łachmany kawałki skóry wiszą u ciała, już żyły i kości widać, a oni biją i biją! Jak długo trwało to piekielne bicie, nie wiemy, z tego tylko wnieść możemy, czem stał się Jezus po wyjściu z tej kaźni. Oto co powiada Psalm, który Zbawiciel umierający odmawiał na krzyżu, Psalm 21: *Ego sum vermis et non homo, opprobrium hominum et abjectio plebis*. »Ja jestem robak a nie człowiek, pośmiewisko ludziom, obrzydzenie pospólstwu«. Jakim był po wyjściu z tej kaźni, możemy i z tego się domyślić, że Piłat, który przecież przyzwyczajony był do tego rodzaju egzekucyj, życie ludzkie i cierpienie drugich za nic ważył i jak

każdy Rzymianin nie wahał się zabijać sta i tysiące z podbitego narodu, Piłat, gdy stanął przed nim Zbawiciel cały krwią płynący, wzruszył się na Jego widok, co większa, tym widokiem spodziewał się zmiękczyć zaciętość i nienawiść żydowską.

Któż zdoła, nie powiem, wysłowić ale choćby zrozumieć tylko straszną męczarnię, jaką czuł w swojem ciele Zbawiciel! Gdy ciało Jego płynęło jedną strugą krwi, wtedy to był On tym, którego przepowiedział Izajasz: »mężem boleści, mającym niemoc«, mężem najsroższej utrapionym we wszystkich członkach swego ciała, mężem, który połączył wszystkie rodzaje cierpienia, wszystką gorycz, wszystkie kłucia i szarpania, wszystkie palenia boleści bez miary i bez wyrazu. *Virum dolorum. Non est dolor sicut dolor meus,* »Niema boleści nad boleść moją«, woła o Nim Jeremiasz.

Lecz cóżto była za wściekłość katów, którzy się nad Zbawicielem

tak pastwili? Aby wytłómaczyć to niesłychane nawet w rzymskich execucyach okrucieństwo, niektórzy pisarze Kościoła powiadają, że za oprawcami stał szatan i podżegał ich złość. Naprzód z nienawiści do Chrystusa Pana, a powtóre, by przez tę okrutną męczarnię odkryć tajemnicę, która mu zasłaniała Jezusa. Szatan nie wiedział, czem był Zbawiciel. Jeszcze na puszczy, po czterdziestodniowym poście, próbował wybadać potrójną pokusą, ażali Bogiem jest albo też człowiekiem? Czego nie dokazał kusząc Zbawiciela, tego dopiąć spodziewał się tą siły ludzkie przechodzącą męką. Bo albo ten ból straszny przywiedzie Jezusa do niecierpliwości a może i rozpaczy, a wtedy pokaże się, że jest tylko człowiekiem, albo też Jezus sprawi cud, aby się od niego uwolnić, i wtedy się wykryje, że jest Bogiem. I szatan rachował jak Herod, i jak Herod się omylił. Jezus nie stracił cierpliwości, ani cudu na swą obronę nie

uczynił. Cichy jako baranek, którego przewidział Izajasz, szedł na zarżnięcie, i książęta ciemności, mówi św. Paweł, nie odkryli tajemnicy, aż kiedy była spełnioną!

Wszakże i bez tego tłómaczenia zrozumieć można okrucieństwo katów Chrystusowych. Przecież wiadomo, jak się nad pierwszymi chrześcianami pastwili Rzymianie. Dzikie, grube, zwierzęce natury żołdactwa pogańskiego niezdolne były do żadnej litości, owszem uciechą było dla nich trapić oddaną im ofiarę, przedłużać jej mękę, przydawać bólu, aby się zabawić jękiem jej i konwulsyjnem drganiem. Św. Ignacy z Antiochii, trzeci po Piotrze tej katedry biskup, skazany został za czasów Trajana na pożarcie przez bestye i w tym celu wysłany morzem do Rzymu. W drodze taki list do braci swych napisał: »Płynąc z Syryi do Rzymu, odbywam już walkę z bestyami; dniem i nocą związany jestem z dziesięcioma lampartami

to jest z żołnierzami, którzy mnie pilnują. Tym, choćbyś świadczył dobrze, jeszcze gorsi się robią. Ich niegodziwość szkołą jest dla mnie; bodajbym wreszcie był pożarty przez bestye!« Dzisiaj prawie niepodobna nam zrozumieć, jakim sposobem serce ludzkie może przyjść do takiej skamieniałości, gorzej, do takiego zbestwienia, aby męczyć jeszcze tych, którzy mają dać głowę; i w istocie zdaje się dziś to już niepodobne. Krew to Chrystusa Pana w biczowaniu i na krzyżu wylana, zmiękczyła najtwardsze natury ludzkie, odjęła im w znacznej części ich drapieżną srogość. Przez nią to, pod jej dobroczynnym wpływem, i sądy i kary ludzkie z czasem złagodniały i straszne dawniej tortury ustały, i karze śmierci, o ile niezbędnej, odjęte dawne, niepotrzebne, zaostrzające srogości. Tak u nas przynajmniej, w Europie, u narodów chrześciańskich. Ale jeżeli z Europy zajdzie się na Wschód, pomiędzy ludy,

które wiary chrześciańskiej jeszcze nie poznały, lub których ona jeszcze nie przebiła twardej, zwierzęcej skorupy, tam jeszcze po dawnemu i w sądach i w więzieniach przerażające znaleść można okrucieństwa i pomiędzy ludźmi takie tygrysy i lamparty, jak te, co się nad Zbawicielem pastwiły.

Atoli, prócz złości szatańskiej, prócz rozbestwienia ludzkiego, był jeszcze ktoś inny, co Zbawiciela biczował tak okrutnie. Był nim Ojciec Niebieski! Najmilszego Syna, w którym złożył swoje upodobanie, karze On za grzechy nasze. Co się wówczas działo między Ojcem a Synem, Izajasz tę nam tajemnicę odsłania. »Dla złości ludu mojego ubiłem Go«, mówi Ojciec Niebieski przez usta Proroka. I znowu: »Prawdziwie choroby nasze On nosi, boleści nasze On dźwiga. On przeczysty stał się trędowatym i od Boga ubity i uniżony. Poraniony za nieprawości nasze, starty za złości na-

szc. Jego skaranie pokojem naszym, sinością Jego jesteśmy uzdrowieni. Bo wszyscy jako owce pobłądziliśmy, każdy ze swej drogi ustąpił, a Pan włożył nań nieprawości nasze«. I oto źródło i przyczyna tej niezrównanej, bezprzykładnej boleści, oto tajemnica świętego biczowania. Ręka Ojca smaga i kruszy ciało własnego Syna, bo na Nim widzi przekleństwo zbrodni całego świata. Mężem boleści musiał stać się Ten, który za nas chciał być mężem grzechu. Przez te razy, co Go sieczą, przez te bicze co Go rozdzierają, przez te rany co Go palą, grzechy to ciała naszego mszczą się na najświętszem ciele Zbawiciela. Dobrowolnie zajął On miejsce nasze, dlatego, aby Ojcu za nas zapłacić; dozwolił, by Go słudzy szatana biczowali, dlatego, że myśmy przez szatana mieli być biczowani na wieki. Swoje ciało czyste i niewinne podstawił za nasze splugawione zbrodniami. I cóż dziwnego, że spadły na Niego bicze

bez miary i liczby, skoro bez miary i liczby powinniśmy byli cierpieć za grzechy nasze! Zamiana straszna i bolesna dla Zbawiciela, ale jakże szczęśliwa dla nas! Co Jego rozdziera, nas leczy, krew, która się z Niego leje, naszą oczyszcza, i ten gniew Ojca, który Go odtrąca i na mękę skazuje, nas jednoczy z Bogiem. Szatani podżegali, Żydzi podżegali, oprawcy po zwierzęcemu pastwili się, a to wszystko dlatego, aby nam wyjednać ratunek i zbawienie. Sam Chrystus Pan to zapowiada: »Weźmijcie, to jest ciało moje, które za was będzie wydane«, czyli jak mówi tekst grecki, «za was będzie skruszone«.

Lecz nie tu koniec zasług i dobrodziejstw, które na nas spłynęły z biczowania Chrystusa Pana. Niedość, że za przeszłość płaci, ale i przyszłość ułatwia, ubezpiecza; niedość, że nieprawości nasze zaciera, ale i źródło tej nieprawości gasi w nas i wysusza. Ono sprawia, że

ciało nasze z grzechów nieczystości uwolnione, staje się niewinnem, dziewiczem. Ta cudowna, miłosierna, przemiana, której Pan, zasługą swego biczowania, w duszy wiernej dokonywa, jak dawniej dziwiła Rzymian pogańskich, tak i dziś jeszcze świat niewierzący zadziwia. I starzy Rzymianie pojmowali ważność niewinności i dziewictwa, oceniali skuteczność, doniosłość tej ofiary dla ludzkiego społeczeństwa i przez wszystkie czasy trwania swego państwa, utrzymywali Westalki. Bywało ich wszystkiego — sześć, ziarno szacowne, którego nie można było dość pilnie chronić od zepsucia. Nie było nagród i przywilejów dość wielkich, któremi je obdarzano, by je do ustrzeżenia swego ślubu zachęcić, jak z drugiej strony nie było kar dość ciężkich, by je od złamania ślubu odstraszyć. Wiadomo, że Westalkę, która się przeniewierzyła, zamykano żywcem w grobie, skazując na śmierć z głodu. Tymcza-

sem z nastaniem Chrześciaństwa, zjawiać się poczęły całe szeregi dziewic, które bez żadnej nagrody, owszem składając swe majątki i rodowe zaszczyty, wyrzekały się małżeństwa i oddawały się na służbę Bogu. Tworzyły się i napełniały klasztory, ku wielkiemu zdumieniu pogan. I odtąd to nie ustało i nie ustanie. Ale od czasu do czasu wraca na świat pogaństwo, i oczywiście rzuca się naprzód na klasztory, burzy zajadle te przybytki przesądów. Lecz rzecz dziwna, chociaż drzwi na rozścież otwierają, nikt wychodzić nie chce. »Przed takiemi instytucyami, trzeba się zatrzymać«, mówi pisarz dzisiejszy, niewierzący wprawdzie, ale jednak wolny od uprzedzeń. »Tem bardziej, dodaje on, że próżno srożyć się na nie. Choć twarda ręka prawodawcy zgniecie te zakłady, wnet same odrosną, bo one są we krwi każdego narodu katolickiego. Za czasów rewolucyi było we Francyi 37.000 zakonnic, i te

rozpędzono. Cóż z tego, kiedy dziś jest ich 86.000«. Jeżeli i te znowu dzisiaj rozpędzą, będzie ich dwa razy tyle za pół wieku!

Tak więc przez to biczowanie ileż w ciągu wieków do dusz naszych i do duszy całej ludzkości dobrego spłynęło! I grzech zmazany i zmiękczone serca, i ciało uszlachetnione: źródło niegdyś plugawe wydaje woń świętości i rosę błogosławieństwa Bożego.



VII.

Korona cierniowa.

Wszystkich cnót Chrystus Pan jest mistrzem, wszystkich nas uczył słowem i przykładem, ale najdłużej, najstaranniej, przez wszystkie szczeble swego życia, od narodzenia aż do śmierci na krzyżu, uczył nas pokory.

Bóg nikogo nad sobą i nikogo równego sobie nie mający, Pan nad wszystkiem, na tych wysokościach, z których nad wszechświatem panuje, nie miał przed kim być pokornym, i przyjął obcą sobie naturę, wziął na siebie ludzkie ciało, aby

dać nam wzór z siebie pokory. Wcielenie Syna Bożego to najwyższa, najmniej dostępna dla nas tajemnica. ale i najwyższy, najzupełniejszy akt uniżenia się. Łatwiejbym zrozumiał, że ktoś Ocean Atlantycki lub Spokojny zamknął w kropelce rosy, niż to, że On Wszechmocny, Nieskończony, jedyny w swoim Majestacie, niedościgły w swej wielkości, straszny i niezrównany w swej potędze, stał się drobną dzieciną. Słusznie św. Tomasz powiada, że to złączenie natury Bożej z naturą ludzką jest największem dziełem Bożem i najwspanialszą Jego chwałą; a po tak zdumiewającem zmaleniu, wyniszczeniu siebie, jak już nic w życiu Chrystusa Pana zadziwić nie może, tak niczego więcej zdaje się nie było potrzeba, aby nas nauczyć pokory. A jednak, jak długi szereg przykładów, przez które wciąż Zbawiciel stawia nam tę cnotę przed oczyma!

Et habitavit in nobis... et erat subditus illis. On, na którego twarz nie śmią w Niebie patrzyć Serafiny, przyjął nas maluczkich za swoich towarzyszy na ziemi; co większa własnym stworzeniom, Maryi i Józefowi, chciał być posłuszny. I chociaż nic nie utracił z swego Majestatu, z swojej mądrości i wszechmocy, przez większą część życia chciał być zupełnie nieznany. Ubogi, prosty rzemieślnik, tak cichy, tak zwyczajny i nic nie znaczący, że nikt na niego nie zwrócił uwagi, nie było o Nim nic do powiedzenia. Lat 33 przepędził Chrystus Pan na tej ziemi, z tych przez trzy lata głosił swą naukę, lecz pierwej przez lat 30 uczył cichości i pokory. Cóż może więcej tę cnotę zalecić! — Nakoniec Bóg-człowiek staje się kruszyną chleba i w tej postaci oddaje się na pokarm duszy ludzkiej. To już przechodzi nie tylko granice naszego pojęcia ale i granice naszego zdumienia. To jakby powtórne Wcie-

lenie Syna Bożego, przez które On w duszach naszych się rodzi; to jakby powtórne na tej ziemi Apostolstwo, przez które On dusze nasze zbawia i uświęca. To najwyższy szczyt miłosnej pokory!

»Uczcie się odemnie, żem cichy i pokornego serca!« Jakto, Panie i Mistrzu, czyż niczego więcej nie mamy się uczyć od Ciebie? Przecież Ty świat sworzyłeś. Ty świat zbawiłeś, Tyś go napełnił cudami Twojej mądrości i piękności. Alboż to niegodne uwielbienia i nauki? Tyś nam cel stworzenia odsłonił, Tyś ciemności naszego umysłu rozjaśnił, Tyś dał poznać, czem jesteśmy. Alboż to niegodne nauki? Tyś czyniąc dobrze przeszedł przez świat, ludziś ukochał, i całego siebie im oddałeś; Ty niezłomny w cierpieniu, najwytrwalszy w trudzie, Tyś cały miłością, świętością i ofiarą. Jakżeż i w tem nawet nie mamy brać z Ciebie wzoru, jak się nie uczyć? To wszystko przyjdzie później, przyj-

dzie samo z siebie. Przedewszystkiem uczcie się odemnie, żem cichy i pokornego serca!

Prześladowania, potwarze, niesprawiedliwe potępienia, szyderstwa, poniewieranie i najszkaradniejze obelgi, oto szereg prób, dobrowolnie przez P. Jezusa przyjętych, któremi zatwierdzić chciał w oczach naszych swą pokorę. Wszak już dawniej mówiono o Nim, że jest heretykiem, samarytaninem, że czarta ma w sobie, że zwodzi lud, jada i pije z grzeszniki. Stawiony przed sąd Kajfasza, ogłoszony został bluźniercą, za wyrokiem starszych całego narodu; posłany do Heroda wyśmiany był i wzgardzony jako szaleniec. Ani na jedno ani na drugie Chrystus Pan nie odpowiedział; nie bronił swej sławy, ani niewinności. Później, sroższa jeszcze spotkała go zelżywość. Piłat dał Żydom do wyboru między Chrystusem a Barabaszem. Barabasz był złodziej, zbójca, zbrodniarz najpodlejszy, i Żydzi przenieśli Bara-

basza. Chrystus to zniósł w milczeniu, jak zniósł i to okropne pohańbienie, że Go wobec całego pospólstwa odarto z odzienia i nagiego ubiczowano.

Nadeszła chwila ostatecznego, najstraszliwszego sponiewierania Jezusa, do którego, by je opowiedzieć, słów w mowie ludzkiej brakuje. Słyszeli żołnierze, że Piłat jakoby dla żartu nazwał Chrystusa królem żydowskim: więc i oni z Jego królestwa chcieli po swojemu zażartować. Gdy już był ubiczowany i na zbroczone ciało wdział swoje szaty, obnażają Go po raz drugi, rzucają mu na plecy łachman, z wyszarzanej purpury i sadzają na kamieniu, jakoby na tronie. Zwołują tedy całą rotę, by się z tym królem ubawić. A naprzód splatają wieniec na wzór korony, czy szyszaku z rośliny ciernistej, pełnej kolców długich, twardych i ostrych i tę koronę wciskają Mu na głowę. Niby skończywszy obrzęd koronacyjny, biorą kije w ręce i walą Je-

zusa po głowie z taką gwałtownością, że kolce wbijają się w skórę, drą, szarpią, dochodzą do oczu, krew płynie ze wszystkich stron, włosy i broda nią przesiąkła i twarz cała zalana, że, jak mówi prorok, nie można w Nim było postaci ludzkiej rozpoznać. *Vidimus eum, et non erat aspectus*. Tak straszliwie ukoronowanemu wkładają w rękę trzcinę kruchą, jakoby berło, symbol władzy, z której się śmiano. I by Mu złożyć hołd, godny tej korony, tej zbłoconej purpury i tej wątłej trzciny, żołdactwo szykuje się w półkole i przyklaskując z głośnym śmiechem woła: Bądź pozdrowiony Królu żydowski! A potem skaczą i rzucają się na Niego, i urągają Mu, i wydrzeźniając, plują Mu w oczy, biją po twarzy, szarpią za włosy i brodę, kopią nogami, zdzierają i znowu wtłaczają koronę — prawdziwy rój szatanów pastwiący się nad ofiarą. A Tyś Panie milczał i siedział nieruchomy. O Panie, przestraszną była

ta boleść, którą Ci ciernie zadawały, rozdzierając Twą głowę najświętszą. Lecz o ileż więcej musiało boleć Twe serce na widok złości tych potworów, których stworzyłeś i których zbawić chciałeś; o ileż więcej dręczyły te zelżywości, któremi i Twą Boską i królewską i człowieczą godność tak haniebnie sponiewierano!

Wszakże nie to jedno Chrystusowi Panu ból w tej chwili sprawiało i nie ten ból był mu najdokuczliwszy. Jak ciało swoje dał On za nas ubiczować, tak i głowa Jego musiała być udręczona za nas, a udręczona w sposób szczególny, najboleśniejszy. Bo głowa ludzka nie tylko jest współwinną wszystkich grzechów ciała, na wszystkie daje swoje przyzwolenie, ale nadto jest ona siedliskiem pewnego rodzaju grzechów, i najmiększych między niemi, jak pychy i tego wszystkiego, co z niej się rodzi. Za nie to Chrystus Pan płacił w tej chwili Ojcu Niebieskiemu swą przebolesną Męką,

a już z niej wnieść można, jak te grzechy są wielkie.

Człowiek przez grzech zbuntowany przeciw Bogu, odwraca się od Niego i opiera się na sobie, zamiast Jego, kocha siebie. Ta grzeszna miłość siebie przesiąka wszystkie władze człowieka, zrasta się z niemi i wszystkie wykrzywia. Miłość własna zakorzeniona w umyśle i woli rodzi pychę. Pierwszym przymiotem pychy jest zarozumiałość, cenienie, przecenianie siebie, drugim jest uczucie niezawisłości od Boga i od wszelkiego stworzenia. Człowiek pyszny stoi na sobie. niczyjej woli nie uznaje, albo o tyle tylko, o ile musi. Zajęty sobą, swoją przyjemnością albo interesem, o nikogo nie dba, wszystkimi gardzi, przeświadczony o swojej wyższości; staje się nietowarzyski, nieprzystępny, niesprawiedliwy, niewyrozumiały dla drugich. Chce, aby wszyscy służyli nie tylko jego interesom ale i jego zachceniom. Jedynie wtedy, gdy może być

niezależnym, poczytuje się za wolnego; naprawdę zaś jest to wolność dzikiego zwierzęcia, które słucha tylko swojej natury.

Człowiek w takiem usposobieniu stawiając wolę swoją, świadomie i rozmyślnie, w miejsce woli Bożej, jest podobny do szatana. *Non serviam*, nie będę służył! woła z nim razem. A nietylko opór stawia Bogu, ale walczy z Nim, prześladuje Go. Wszystkie bunty przeciw Kościołowi, wszystkie sekty, herezye, odszczepieństwa, wszystkie prześladowania, czy te co były za czasów starożytnego Rzymu, czy te co się w dzisiejszej Europie odnawiają. nie mają innej przyczyny. Zaczynają się od *non serviam*, nie będę służył, a kończą się na *crucifige eum*, ukrzyżuj go. Z tym to grzechem walczył Chrystus Pan, walczył przez całe życie, dając z siebie przykład pokory, z nim walczył w czasie Męki swojej, płacąc zań Ojcu Swemu.

Ale, powie kto, skoro pycha takich wymaga warunków, to jej we mnie dzięki Bogu, niema. Bo, aby pysznym być, trzeba czuć w sobie jakieś niepospolite zdolności, jakąś niezwykłą siłę, a mnie mój rozsądek wyraźnie ostrzega, że tego mi nie dano. Więc nie jestem pyszny, jeżeli nie z innej przyczyny to z tej, że nie mam z czego tak bardzo się pysznić!

Złudzenie! Człowiek nie tylko z tego się pyszni, co posiada, ale przedewszystkiem z siebie samego, z tego, że on jest. Na to nie trzeba ani potężnego umysłu, ani żelaznej woli; i dziecko pysznem być może. Pytałem raz młodego chłopca, mającego lat 10 lub 12, którego ojciec był profesorem i głośnym uczonym, czem być chce? Zamyślił się, nie odpowiadał. Czy profesorem, jak twój ojciec? — Nie. — Może sędzią, adwokatem, posłem? — Nie.— Więc może księdzem, biskupem? — Nie. — Oficerem, jenerałem? —

Zawsze nie — Zatem czemże, ministrem, królem? — Nie. odpowiedział malec, ja chcę być sobą! — On chce być sobą! Zabawne to, śmieszne, ale prawdziwe i głębokie. Każdy z nas ma coś z natury tego chłopca, każdy potrochu jest takim sobkiem, choć tak naiwnie się do tego nie przyzna. Cóż stąd, że ktoś tam jest uczonym, dygnitarzem, monarchą albo i papieżem, to wszystko jeszcze nie *ja*. Moje ja jest czemś więcej. Zdolności, zalety, cnoty i zaszczyty, to nic nie znaczy wobec mojego ja. Ja, czy co umiem lub nie umiem, czy jestem dobry lub zły, drugim przydatny albo nieprzydatny, powinienem być na pierwszem miejscu, dlatego, że ja; dla mnie pierwsze względy, pierwsze uznanie, wszystko inne niżej odemnie! Wedle różnicy charakteru człowieka, to moje ja w różny sposób pragnie swojego pierwszeństwa. Jeżeli we mnie jest siła woli, to będę szukał przewodzenia, panowania nad dru-

gimi, o pochwały nie tyle stać będę ile o to, bym mógł rządzić, byle moja działa się wola, choćby nie dalej, jak w tej ławeczce albo w mojej celi. To ambicya. Ona niezawsze siebie rozumie, ale poznać się może po wrażeniu, jakie na niej sprawia wszelka przeciwność, niewypełnienie jej woli. Jeżli przeciwnie, wola mniej jest we mnie rozwinięta, a za to większa wrażliwość, będę szukał chwały, czci dla mojego rozumu,. nauki, zdolności, a choćby tylko dla mojego nosa lub moich pięknych włosów, albo dla mojej pobożności. To już nie pycha, lecz pyszałkowatość, próżność, chełpliwość, zalotność. Wtedy radbym nie pominąć żadnej okazyi, aby się popisać swoim dowcipem, wiadomościami, układnością, zręcznością, a choćby tylko jakąś wstążeczką lub ładną parą rękawiczek. Ale koniecznie muszę zwrócić na siebie uwagę, a kiedy się to nie udaje, kiedy na mnie nie zważają, jakby mnie nie było, — niezadowo-

lenie, kwas, zły humor... Jeżeli zaś, co gorsza, inny zajmie miejsce, którego ja pożądam, jeżeli drugiego chwalą, a mnie nie, jeśli innym się zajmują, a na mnie ani spojrzą, wtedy zazdrość, nienawiść, a przynajmniej niechęć. Gdybyśmy mogli pozbyć się tego, co nam w drogę wchodzi, tobyśmy to z chęcią zrobili; ale że nie można. więc przynajmniej radzilibyśmy ująć mu coś, zamazać, zaczernić w nim to, co się drugim podoba, — ztąd obmowa, szyderstwa, może i potwarze. W rozmowie wyrażamy nasze zdanie, nasze życzenie, ale niedość go słuchają, nie przyjmują. I to nas gniewa, i słusznie, bo jak można niesłuchać, kiedy ja coś mówię; jak można nie spełnić tego, czego ja żądam! Ztąd sprzeczki, kłótnie, urazy, chęć zemsty. W małem kółku kończy się to na słówkach, przycinkach, chwilowem od siebie stronieniu; ale na szerokiem polu, już nie przycinki

ale cięcia padają: procesy, krwawe zatargi, wojny.

A wszystko to rodzi się z pychy, z miłości własnej. Najtrudniejsze pysznemu posłuszeństwo. Wszelki zakaz go drażni, ma przyjemność nie uważać nań. Wszędzie i zawsze chciałby żyć według swego upodobania. Ale ponieważ to niepodobne na nieszczęście, bo aby zupełnie być niezależnym, trzebaby nie żyć na świecie, ponieważ tam, gdzie jest, być musi, więc, choć go to bardzo kosztuje, musi też zastosować się do drugich, nieraz spotkać się z rozkazem. Jeżeli rozkaz dogadza jego naturze, to go wypełnia, nie myśląc o tem, że to rozkaz, jeżeli nie, to omija, o ile może, bez ściągnienia na siebie większych nieprzyjemności. W potrzebie gotów jest wykręcić się, może i skłamać. Ale zdarzyć się może, że za jego nieposłuszeństwo, złe zachowanie się, zaniedbanie obowiązków, spadnie na niego upomnienie, nagana. To już krzywda wielka

i jego ja srodze jest obrażone. Pierwszy pęd w nim jest stawić się hardo, zuchwale, stać przy swojem, z pogardą przeczyć wszystkiemu. Jeśli niema tak pysznej śmiałości, to krnąbrym nie będzie i zamilknie, lecz w duszy jakże mu gorzko, że jego śmiano naganić! Najprzód, że nie uchybił,—prawie nie uchybił! A powtóre, choćby i uchybił, jakto można jego ja tak lekceważyć, żeby wady jego i winy wytykać i jego przy drugich zawstydzać! Doprawdy, nieznośny jest ten przełożony, gotówby go nienawidzić: taki wymagający, zrzęda, niedelikatny! Zresztą, choćby to i prawda była, co on mówi; cóż ztąd, jeśli jego to obraża. Co znaczy prawda albo nieprawda, kiedy chodzi o niego. Alboż jest coś ważniejszego nad jego osobę! I oto niespodzianie zeszliśmy się znowu z tym malcem, który chciał być tylko *sobą!*

Teraz zważmy, że to grzechy nasze, a tak wielka ich mnogość, całe to sprośne potomstwo, obłąkanego

miłością własną rozumu i zbuntowanej przeciw Bogu woli, wszystko to zwaliło się w owej strasznej chwili na głowę Zbawiciela. Za tę pychę naszą i ambicyę, za tę zarozumiałość i występne upodobanie w sobie, krnąbrność, upory i nieposłuszeństwa, za te zazdrości, nienawiści, intrygi i podstępy, — ciernie długie i kolące przeszywają Jego skroń najświętszą, kij wciska kolce do głowy, krew broczy się po Jego twarzy. Za tę próżność naszą, nienasyconą żądzę pochwały, chełpliwość i zalotność, za nasze fałsze, obłudy i kłamstwa, za obmowę pogardę, potwarze i szyderstwa, — Jemu to oddają szydercze pokłony, kopią Go, plują Mu w oczy, biją Go po twarzy. Cóż dziwnego, że kaci tak okrutni, że żołnierstwo tak rozpasane, kiedy to nasze ręce, nasze głowy ich uzbroiły, one to pobudzają do pastwienia się nad Jezusem, do urągania Mu w tej przestrasznej męce. My zawinili, nam się te cier-

nie i zelżywości należały; a On cichy, pokorny i cierpliwy za nas je przyjmuje i złość naszą maże krwią i hańbą własną.

Czem biczowanie było dla grzechów naszego ciała, tem cierniowa korona dla grzechów rozumu i woli. I podobnie jak swem ciałem, aż do kości zdartem otworzył nam drogę do nabycia czystości i niewinności, tak swą głową poszarpaną i shańbioną wyjednał nam możność zyskania pokory. Uczył jej całe życie i to przed śmiercią, staje raz jeszcze jako jej Mistrz w tym obrazie najwyższej zelżywości.

VIII.

Szymon Cyrenejczyk.

Wyrok wydany, krzyż już wyciosany, czas iść na Kalwaryą, spełnić Najświętszą Ofiarę. Oprawcy wkładają szaty na Jezusa, któremi się mają podzielić i w tej jeszcze chwili nie szczędzą Mu urągania. A On z weselem, jak mówi św. Paweł, podejmuje krzyż. Ale drzewo długie i ciężkie, droga przykra, spadzista, a On tylokrotną męką z sił wyniszczony. Nachylony ledwo stąpa; Żydzi wołają Nań, by szedł prędzej.

Idzie, a w jakiem otoczeniu! On, który w niebiesiech ponad wszystkie

chóry wyniesiony, który na Thaborze między Mojżeszem i Eliaszem w blasku swego majestatu się objawił, teraz ma za towarzyszy dwóch zbójców. Obok Niego oprawcy, podwójny szereg żołnierzy, kapłani żydowscy i pospólstwo, którzy chcą nasycić oczy widokiem ostatniej męki i hańby Jego. Pędzą Go, popychają, pilno im widzieć Go na krzyżu. Jakiś czas Jezus nie tak dźwiga swój krzyż, jak go wlecze, ale nogi się chwieją i upada; ogromne drzewo przytłacza Go swem brzemieniem.

Spostrzegli Żydzi, że sił Mu nie staje. A nuż nie dojdzie i wśród drogi skona? Minęłaby Go w ten sposób śmierć okrutna i haniebna! Byłby to zawód dla nich; więc szukają kogoś, coby Mu ulżył. Oto nadchodzi z miasta Szymon z Cyrenei, idzie za swoim interesem, o Chrystusie nic nie wie. Wzywają go, on się opiera, nie chce nieść krzyża, który przeznaczony dla zbrodniarza. Ale go zmuszają i poddaje się.

Ten Cyrenejczyk, to głęboka tajemnica. Dlaczego Zbawiciel idąc na Kalwaryą, chciał, aby mu ktoś pomógł dźwignąć Jego krzyż? Czyż niemógł zebrać swoich sił cudownie, jak to uczynił później na krzyżu, wołając przed skonaniem głosem donośnym, którego w chwili śmierci człowiek wydać nie jest zdolny! Czyż nie mógł przyzwać ku swojej pomocy Aniołów, a jeden byłby wystarczył? Mógł to wszystko, bezwątpienia. Ale krzyż nie dla Aniołów, więc ich nie przywołał; krzyż jest dla ludzi, więc należało, aby go ludzie z Nim dźwigali i dlatego niechciał go cudownie nieść sam. On najprzód wziął krzyż ne swe barki, a potem oddał go nam, jakby chciał przez to powiedzieć: »Oto co was czeka, niespodziewajcie się czego innego, krzyż to mój lecz i wasz, a bardziej wasz niż mój, boć ja dla was tylko go niosłem? Ale dlaczego żaden z żołnierzy, sług kapłańskich lub pospólstwa, żaden z tych wszyst-

kich, co tak pragnęli śmierci Jezusa, nie był użyty do tej posługi, jeno człowiek obcy, który nie należał do niczego? Bo do zaszczytu swego krzyża Chrystus Pan nie przypuszcza ludzi złych, prześladowców swoich. Oni później, w swoim czasie, stokroć dotkliwsze będą znosili krzyże, ale krzyż Chrystusów nie dla nich. On dla wybranych.

Lecz wpatrzmy się lepiej w tego Cyrenejczyka. Czyż nie poznajemy w nim siebie? Gdy go wezwano, podjąć się nie chciał, pragnął iść dalej swoją drogą. Trzeba było gwałtem go zatrzymać, rozkazać, przymusić. *Hunc angariaverunt ut tolleret crucem*. Tak i my robimy. Gdy spada na nas krzyż, czynimy co w naszej jest mocy, aby się od niego uwolnić. Ileż to zachodów, rozmyślań, niepokojów, by się pozbyć natrętnego gościa; a gdy to wszystko na nic się nie przydaje, wpadamy w smutek, ciężką gorycz serca, nieraz w gwałtowne wybuchy a może

i rozpacze, bluźniercze przeciwko Bogu i Jego zrządzeniom szemrania. Czy w ten sposób krzyż z siebie zrzucimy? Ah nie, przykrzejszym on się staje; im większa nasza niecierpliwość, tem trudniej nam go znosić, a co gorsza, pozbywamy się dobrowolnie korzyści, jakie dla nas Bóg z krzyża zamierzył.

Jak Żydzi Cyrenejczyka tak Bóg zmusza nas, abyśmy krzyż wzięli na siebie, a choć prosimy Go usilnie, aby nas oszczędzał, On na kaprysy i płacze dziecka nie zważa. I bardzo szczęśliwie, że tak się dzieje: »Wie Pan Bóg co robi«, mówią ludzie w takich razach i to jest bardzo mądre powiedzenie. Rzecz prosta, że kto nie ma wiary lub o życiu przyszłem nigdy nie myśli, ten krzyżów nie zrozumie i z trudnością im się podda. Kiedyś, skoro przypłyniem do portu wiecznego i stamtąd spojrzym na tę naszą ziemską przeprawę i przypominać sobie będziemy, czegośmy w niej doświadczyli: i prądy

pomyślne i wiatry przeciwne, spokój wygodny i trudy żeglugi — w innem niż dzisiaj świetle one nam się przedstawią. Wówczas poznamy, że co nam tutaj sprawiało uciechy, było w gruncie albo obojętne, albo niebezpieczne, albo nawet szkodliwe, a przeciwnie to, nad czem najwięcej utrudziliśmy się, lub co nam dobrze wycisnęło łzy, nasze krzyże i twarde próby, te tylko były szczęśliwą stawką, która nam wielką przyniosła wygranę. Ale, nie trzeba koniecznie czekać na śmierć, można i za życia przyjść do przekonania, że krzyże w ręku Boga, są środkiem wychowawczym, którym dusze nasze do przyszłego lecz i do tego świata przysposabia. Zapytajmy tych między nami, co już kilka krzyżyków życia swego liczą. Oni, gdy sobie przypomną niejedno gorące pragnienie, którego spełnienia wyglądali, a potem boleść, jakiej doznali, gdy się nie spełniło, teraz, gdy jedno i drugie spokojnie rozważą, przyznają pewno,

że dobrze się stało, że się nie stało po ich myśli. Wiedział Pan Bóg co robił, a ja byłem niemądrem dzieckiem, co się napierało swej szkody. Bezwątpienia, potrzebna jest pociecha, potrzebna radość w tem życiu, ale ciągła pociecha i ciągłe powodzenie byłyby dla duszy trucizną. I dola i niedola warunkiem są harmonii w nas samych i w stosunku z bliźnimi. Człowiek, któryby nigdy nie zaznał boleści, stałby się jak głaz, zimny, niewyrozumiały dla drugich, zamknięty w sobie, siebie jedynie szukający, i stwardziałby i zgnuśniał zarazem, i rychłoby zapomniał o życiu przyszłem i o Bogu. Boć jeśli dzisiaj, mimo bolów wszelkiego rodzaju, które go cisną, przywiązuje się on tak mocno do spraw tego świata, jakżeby, wolen będąc wszelkiej przeciwności, choćby myślą samą przeniósłby się w świat pozagrobowy. Cierpienie jest tem szczęśliwem upomnieniem, że tu nie nasza stała ojczyzna. Nic nieszczęśliw-

szego jak człowiek, któryby żadnego nie doświadczył nieszczęścia, ale i nic słabszego zarazem. W ogniu cierpienia hartuje się dusza. Bez niego nigdyby człowiek nie wiedział, co wart, i ani sam na siebie, ani drudzy na niego liczyćby nie mogli. Dodajmy, nic przykrzejszego dla drugich, jak ten, którego żadna jeszcze przeciwność nie złamała. Zapytajmy, w jakim wieku mężczyzna jest najmniej towarzyski, najbardziej szorstki, lekceważący, poniewierający drugimi? Między 16 a 20 rokiem życia, kiedy poczuwa w sobie rosnące siły, a jeszcze nie miał sposobności spróbować się z przeciwnościami, ni zwątpić o sobie. Przeciwnie, o takim co dużo przeszedł, mówią, że jest wytrawny, stateczny, i słusznie, bo w nim twarde doświadczenie wiele rzeczy szpetnych, niepotrzebnych strawiło, wiele pięknych i pożytecznych ustaliło. Bez krzyżów, bez przeciwności, nigdybyśmy się z wad naszych nie otrzęśli. Zdarza się, że

z niemi zrośli, ani je za wady poczytujemy, ani domyślamy się ich istnienia, tem samem nie możemy się z nich oskarżyć, a tem mniej poprawić, aż Bóg cierpieniem, które one sprowadzą, pokaże nam, co za licho w nas siedzi. Krzyż, to jest wielki artysta, którego Bóg używa, aby dusze nasze po swojemu przerobić, wyrzeźbić wedle swej myśli; krzyż to artysta, którego oka żadna kryjówka naszego serca nie ujdzie, ani cięcia jego dłuta bardzo misternego, lecz i dotkliwego nieraz bardzo!

Łatwo mówić, powie kto, kiedy się nie cierpi. Ale krzyż boli, a wtedy te piękne i mądre prawdy łatwo uchodzą z pamięci. Czyżby nie można zrobić, żeby mniej bolał, a jednak dał to wszystko?

Krzyżów przyjemnych dla naszej natury nie ma na tym świecie, albo to nie są krzyże, źleby zrobił ten, coby je przedstawiał jako rzecz ponętną. Wyznaję, że nie mogłem ni-

gdy bez niesmaku patrzeć na niektóre książki do nabożeństwa, zwłaszcza francuskie, w których są obrazki z krzyżykami tak elegancko namalowanemi, tak misternie upleceonemi z listków, kwiatuszków, że tylko wziąć je w rękę i delektować się niemi. To profanacya niedorzeczna. Źle jest, choćby dzieciom maleńkim, ukazywać krzyż jako pieścidełko. Sielankowe, sentymentalne krzyżyki mogą być na obrazkach, ale nie w życiu. Krzyż prawdziwy twardy jest, sękaty, ciśnie, cięży, doskwiera. Z krzyżem nie wolno jest bawić się, nigdy to bezkarnie nie uchodzi. Czyż nie pamiętamy, lat temu 20 [1]), jaki nas ogarnął szał bawienia się krzyżem, popisywania się symbolem męczeństwa? Niewiasty polskie zawieszały u szyi długie żelazne łańcuszki, a na nich połamane krzyże. Widziałem wiele takich Polek po miastach zagranicznych, zwłaszcza

[1]) Pisane w r. 1881.

u kąpiel i patrzałem na nie z przestrachem; zdawało mi się, że robią paradę, że nie powiem maskaradę, z boleści narodowych, że wyzywają na siebie i na naród karę Bożą. A jak się to skończyło? Krzyż upominał się o swe prawa, manifestacye poszły w kąt! Chrystus P. nie mówi tylko, iżby *wziąć krzyż na siebie,* ale mówi także, aby *iść za nim.* Kto bierze krzyż Chrystusowy na siebie a za Chrystusem nie idzie, tego krzyż nie podnosi, nie uświęca, owszem karze, mści się okrutnie. Za te krzyże teatralne, jakże straszliwie trzeba było zapłacić, ileż wycierpiał i cierpi dotąd Kościół i naród!

Krzyż boli, to prawda, ale my sami zaostrzamy nasze cierpienie oporem, jaki mu stawiamy, gwałtowną chęcią pozbycia się onego, niesmakiem, rozdrażnieniem, z jakiem go przyjmujemy. Posłuchajmy któregobądź lekarza, każdy bezwątpienia stwierdzi to spostrzeżenie, że im-

bardziej gniewamy się na nasz ból, im niechętniej go przyjmujemy, tem dotkliwszym się on staje. W tej walce, jaką w chwili bolu toczymy sami z sobą, z naturą, musimy zgłuszyć w sobie uczucie, walczyć rozumem oświeconym przez wiarę, rozumowi a nie uczuciu poddać naszą wolę, a szukać dla niej pokrzepienia w rezygnacyi i pokorze. Musimy przypomnieć sobie, że ten krzyż, skądkolwiek on spada, nie od ludzi, nie z przypadku on nam przychodzi, ale zawsze od Boga; zawsze to, jak u nas pięknie mówią, *krzyż pański*. Cyrenejczyk wzdrygał się i ociągał, jak my to czynimy, ale jednak z konieczności poddał się i dźwigając szedł za Jezusem. Przed sobą widział Zbawiciela udręczonego straszliwie, z braku sił zaledwo włokącego się naprzód. Nieporównana cierpliwość, z jaką P. Jezus boleść wytrzymywał, uderzyła go, począł się Mu lepiej przypatrywać, uczuł w sobie jakiś pociąg do Niego, po-

woli zapominał o własnej przykrości, o krzyżu, który dźwiga, uspokoił się. Toż samo i z nami się dzieje, jeśli w ciągu cierpienia myślimy o Chrystusie. *Tollite jugum meum super vos et invenietis requiem animabus vestris.* »Weźcie jarzmo moje, to jest mój krzyż na siebie, a znajdziecie spokój duszom waszym«. Sprawdziło się to na Cyrenejczyku, sprawdzi się i na nas; pomimo cierpienia, znajdziemy spokój dla dusz naszych. A że po tej drodze na Kalwaryą Cyrenejczyk szedł za Jezusem, więc pokochał się w swym krzyżu i został uczniem Chrystusowym.

Gdyby Cyrenejczyk znał był tę cenę i zasługę krzyża, gdyby on był wiedział, że niesie nie zbrodniarza krzyż ale Zbawiciela rodu ludzkiego, narzędzie jego odkupienia, nadzieję świata całego, czyżby potrzeba było do tej posługi go przymuszać, czyżby jej nie uważał raczej za najwyższy dla siebie zaszczyt. Sama myśl, że to krzyż Pana jego i Stwórcy, by-

łaby go odrazu uspokoiła, uszczęśliwiła. A my wiemy, że to jest krzyż Chrystusowy, my znamy jego świętość, jego nieobliczone owoce, a jednak cofamy się, kiedy nam go Pan Jezus podaje, kiedy nas do dźwigania zaprasza? Czyż to po chrześciańsku, czy to się zgadza z naszą wiarą, z naszą dla Chrystusa miłością?

Kto chce być uczniem moim — mówi Zbawiciel, *niech weźmie krzyż swój* — bo krzyż Chrystusowy staje się naszym, gdy go przyjmiemy — *i niech idzie za mną*. — I to się właśnie na Cyrenejczyku sprawdziło. Został uczniem jak już wiemy. A my jesteśmy już uczniami Chrystusowymi, ale jakże leniwi, jak niepojętni, jak słabej wiary! Krzyż to właśnie ma nas douczyć, naszej edukacyi chrześciańskiej dopełnić. Krzyż to najuczeńsza ze wszystkich książek, jakie znaleść można. Ci co nie znają tej książki, choćby też całe biblioteki w sobie przetrawili, będą zawsze

nieukami w najwyższej z nauk — w nauce życia!

Na jeden jeszcze zarzut mam odpowiedzieć. Aby krzyż udźwignąć, trzeba mieć siły potemu, a my słabi, każda przeciwność nas wywraca, a krzyż nieraz tak ciężki! — Prawda, że on ciężki i byłby nie do zniesienia, gdybyśmy go sami nieść mieli. Takim on jest w istocie dla tych, którzy nie szukają z góry pomocy. Wszakże teraz niemal codzień czytamy w dziennikach o ludziach, przyciśniętych nieszczęściem, przywiedzionych do rozpaczy, którym szatan wydarł wiarę, albo jej nigdy nie mieli. Bez wiary skądże mogą czerpać siłę, skąd nadzieję, że im przyjdzie ratunek, więc przed krzyżem uciekają się — do strasznej zbrodni samobójstwa! Ale my chrześcianie wiemy, że to jest krzyż Chrystusa, że On gotów dźwigać go z nami, jak go dźwigał wraz z Cyrenejczykiem; wiara nas uczy, że On cierpi w nas, w nas zasmucony, udrę-

czony, prześladowany. Jakkolwiek przeto spadnie na nas przeciwność, możemy i powinniśmy wraz ze św. Pawłem zawołać: *Non ego sed gratia Dei mecum,* nie ja sam, ale łaska Boża ze mną. Bezwątpienia, kielich jest gorzki, cios straszny, boleść okrutna — nad moje siły, lecz czyż mi Pana Jezusa zabraknie? Owszem będzie On ze mną, przy mnie, we mnie, aby mnie pocieszyć i wesprzeć. Z Panem razem i z Jego łaską wszechmocną, cóż jest coby siły moje przeszło? *Omnia possum in eo, qui me confortat:* wszystko mogę w Tym, który mnie pokrzepia.



IX.

Niewiasty Jerozolimskie.

Gdy Jezus szedł na Kalwaryą, »szła za Nim wielka rzesza ludu i niewiast, które płakały Go i lamentowały. A Jezus obróciwszy się do nich rzekł: Córki Jerozolimskie, nie płaczcie nademną, ale same nad sobą płaczcie i nad synami waszymi. Albowiem ci oto przyjdą dni, w które mówić będą: Szczęśliwe niepłodne i żywoty, które nie rodziły i piersi, które nie karmiły. Tedy poczną mówić górom: padnijcie na nas; a pagórkom przykryjcie nas! Albowiem jeśli to na zielonem drzewie czynią, cóż na suchem będzie?«

Żołnierze urągali, kapłani łajali, Chrystus Pan idzie, jakby tego nie słyszał; ale pierwszy znak serdecznego spółczucia wzruszył Jezusa, bo żadna nasza myśl poczciwa, żadne poruszenie dobre i szlachetne nie ujdzie niepostrzeżenie u Boga.

Być cierpliwym, kiedy się nie cierpi, to nie trudno. Być wyrozumiałym, wchodzącym w potrzeby drugich, litować się nad nieszczęściem, chcieć mu zaradzić, i to jeszcze łatwo, kiedy nam samym na niczem nie zbywa, a w sercu jest jakieś szlachetniejsze uczucie. Ale być zbolałym — być skutym, spalonym, rozdartym boleścią, mieć ciało pokryte ranami i na tych ranach dźwigać uciskające brzemię, upadać z braku siły, z utraty krwi, z srogiej męki, w takim stanie iść na śmierć, na śmierć najtwardszą i najhaniebniejszą — a na to wszystko nie uważać, o tem zapomnieć, jakby nic nie dolegało i nic nam nie groziło — a przy tem wszystkiem wi-

dząc bliźniego, myśleć o jego tylko potrzebach, przewidywać złe, które jemu grozi, i dawać przestrogi jak go ma uniknąć, to już nietylko nie łatwo, ale to dla człowieka całkiem niepodobne, na to trzeba Bożej cierpliwości i Bożej dla stworzenia miłości, i tego właśnie Chrystus Pan daje nam przykład w tem spotkaniu z niewiastami. To już najwyższy obraz zapomnienia o sobie, to najszczytniejszy wzór słodyczy i miłości!

Oto Baranek Boży, mówi o Nim Jan Chrzciciel, przyrównywując Go do najpotulniejszego ze stworzeń; prawda, jak cichy, łagodny, pokorny. Sprzeczać się On nie będzie, mówi o Nim Izajasz, głosu Jego nie słychać po ulicach; trzciny nadłamanej On nie dołamie, lnu tlejącego nie zgasi. Eliasz, gdy ujrzał w Izraelu zepsute ołtarze i pozabijane proroki, wielkim żalem rozżalony mniemał, że Pan zeszle wicher gwałtowny, co góry i skały wywraca, spuści ogień,

co wszystko pożera, — i usłyszał odpowiedź: Nie w wichrze gwałtownym, ani we wzruszeniu i zamięszaniu, ani w ogniu Pan, ale w wiaterku cichym i orzeźwiającym. Tę cichość, to oszczędzanie drugich, tę słodycz ujmującą i orzeźwiającą widzimy w tem spotkaniu, widzimy w tylu innych. A naprzód rozmowa z Samarytanką. Uważmy, że ta niewiasta mieszkając w Samaryi, żyła w odszczepieństwie, miała wstręt do Żydów, była przytem w ciężkim grzechu. To wszystko nie wstrzymuje Jezusa. Żąda od niej usługi, aby pokazać, że nie ma uprzedzenia, temsamem jej uprzedzenie usuwa. Powoli, stopniowo, zyskuje jej ufność, i wtedy odkrywa jej grzech, ale spokojnie, bez oburzenia. Ujęta tą dobrocią Samarytanka, przyznaje także, że Jezus jest prorokiem. Jeszcze krok dalej a uwierzy, że jest Mesyaszem, że jest Synem Bożym. A wtedy porzuca wiadra u studni i bieży do miasta, aby oznajmić wszystkim, któ-

rych spotka, dobrą nowinę. Ze schyzmatyczki, z grzesznicy, staje się uczennicą, apostołką, głosi przyjście Messyasza, znaczną część mieszkańców przyprowadza do Jezusa. Jakaż to odmiana skutkiem jednej rozmowy! A kluczem do jej rozwiązania słodycz Zbawiciela. — Albo ta druga niewiasta, co na uczcie u Szymona, łzami obmywała stopy Chrystusa. Z miłością patrzał Jezus na jej żal; nie zważał na to, że faryzeusze potępiają Go w duszy, oburzają się na Niego za to, iż cierpi przy sobie jawnogrzesznicę. Przyrównaniem trafnem i spokojnem wykazuje im błąd; grzesznej niewieście dawnych upadków nie wymawia, odpuszcza je, słodyczą swoją przemienia ją w pokutnicę. Albo to insza niewiasta, schwytana na uczynku, za który wedle zakonu miała być ukamienowaną i przyprowadzono ją do Jezusa, aby osądził. On złego nie broni, ale powiada: »kto z was bez grzechu, niech pierwszy rzuci na nią kamień!«

I odeszli wszyscy. »Niewiasto, żaden cię nie potępił?« — »Żaden Panie.« — »I ja cię nie potępię, idź i więcej nie grzesz«. Miano ją ukamienować, a On ją ocalił, bez żadnego gromienia. Słodycz Chrystusa obudziła w niej więcej zawstydzenia i żalu, niż upomnienie najsurowsze. Nikt z tak wielkiego strachu nie przychodzi do zupełnego spokoju bez najżywszej wdzięczności. I ocalił ją i nawrócił spokojem i słodyczą.

Często samem spojrzeniem pociągał, upominał. Przypomnijmy tego młodzieńca, który przyszedł Go pytać o drogi doskonałości. Jezus spojrzał na niego z miłością, ale młodzieniec tego spojrzenia nie poczuł, bo go oddzielało od Boga przywiązanie do własnych dostatków i odszedł. Jezus nie oburzył się na niego, nie potępił go, tylko ze smutkiem zawołał: »Jakże trudno jest bogatemu wejść do królestwa niebieskiego!« Bogatemu, to jest związanemu z swojem bogactwem. Kiedy Piotr trzy-

krotnie się wyparł Jezusa, On obróciwszy się do niego, nie rzekł nic, tylko spojrzał. Cóż to za siła w tem spojrzeniu, ileż w niem słodkiej wymówki! Piotr zrozumiał ją, przypomniał sobie przepowiednię Jezusa i płakał, a ten żal i płacz przejednał Zbawiciela. I przebaczył mu i już o upadku nie pamiętał. A jak słodko i delikatnie, nie wynurzając mu tego zaparcia się, dał mu sposobność po Zmartwychwstaniu swojem naprawienia go trzykrotnem wyznaniem miłości. Jak żeby szczęśliwie było, gdybyśmy i my tę słodycz, tę delikatność Jezusa w obejściu z ludźmi mieli na pamięci!

Uważmy dalej, że i wtedy nawet, gdy musiał strofować, gromić, Jezus nie omieszkał nigdy podnieść wprzód tego, co było dobre, chociaż ze złem zmięszane, pochwaliłby też rzecz najmniejszą. »Dobrześ powiedział, toś prawdę powiedział«, to były zwyczajne Jego słowa, któremi lubił uprzedzić swoją naukę, spro-

stowanie. Gdybyśmy w tem jednem chcieli naśladować Jezusa, ileżbyśmy dobrego zrobili, ileż sporów i zadraśnięcia uniknęli, jak ułatwili przyjęcie i zrozumienie prawdy? Człowiek, który chwali z łatwością, gdy coś dobrego zasługuje na pochwałę, choćby rzecz naganna z tem się łączyła, zyskuje ufność, zdobywa wpływ i użyć ich może ku wyświeceniu prawdy, ku odwróceniu złego. Nie miłosne to oko, które widzi tylko usterki i te spieszy wymawiać, a dobrego nie dostrzega, pomija jakby nie śmiało, jakby było obojętne. Przez takie oko jeszcze patrzy miłość własna, jeszcze ogląda nieumartwiona osobistość, własna wola. Nietylko złe ale i dobre trzeba widzieć i kiedy się złe ma zganić, wprzód należy dobre pochwalić, jak Chrystus Pan uczynił.

Niemy służebnik Annasza uderzył w twarz Jezusa, a On rzekł: »Jeżlim źle powiedział, pokaż w czem źle; a jeźli dobrze, za co mnie bi-

jesz?« W tym spokoju ile siły! Nie uniósł się, nie gromił, ale spokojnie odkrył niesłuszność postępku, zmusił do refleksyi, i w tem właśnie siła. A my, gdy najdrobniejsza spotka nas krzywda, albo tylko upomnienie, zaprzeczenie, zaraz wpadamy w kwas, gorycz, przybieramy ton wyniosły, wyzywający, chcielibyśmy zgnieść przeciwnika, przynajmniej dać mu uczuć nasze żądło. Słabość to nasza; pełniśmy siebie! Choćbyśmy nie siebie, ale prawdy mieli bronić, pamiętajmy, że nie tonem wyniosłym, nie kłótniami rozpowszechniła się Ewangelia, ale słodyczą i cierpliwością na wzór Chrystusa P., cierpliwem znoszeniem przeciwności i urazy. »Jako owce, posyłam was między wilki«, rzekł Chrystus, gdy uczniów swoich wysyłał na Apostolstwo. Cóż słabszego jak owca, choćby chciała bronić się, nie może, co najwięcej może uciekać, ale któreż ze zwierząt ma więcej słodyczy? I w tę jednę, jedyną broń każe Chrystus opatrzyć

się, gdy idziemy służyć Jego prawdzie. Przypomnijmy jeszcze, że gdy Samarytanie nie chcieli przyjąć u siebie Jezusa, ani pozwolić, aby u nich odpoczął wraz z uczniami, dlatego, że z Galilei szedł do Jerozolimy na święta, uczniowie Jego tą nieludzkością oburzeni, zawołali: »Chcesz, rzeczemy, iżby ogień zstąpił z nieba i spalił je?« A Jezus im na to: »Nie wiecie czyjego ducha jesteście! Syn człowieczy nie przyszedł dusze tracić, ale je zachowywać«. I szedł spokojnie do drugiego miasteczka. Jakże często niby gorliwością w obronie prawdy i chwały Bożej uniesieni, rzucamy gromy na naszych przeciwników, palimy ich słowami naszemi. Jakżeby dobrze było, by nam ktoś szepnął wtedy. Nie wiecie, czyjego ducha jesteście i skąd to oburzenie w was. Nie Duch Boży przemawia przez was, ale Duch pychy i miłości własnej. Jakżeby dobrze było, by i wtedy, gdy bliźnich upominamy, ktoś szepnął do nas:

Patrzaj, czyjego ducha jesteś, o ile Duch Boży przemawia przez ciebie, o ile zawód i przykrości, których osobistość twoja doznała?

Beati mites, quoniam ipsi terram possidebunt. — To słowo *mitis* tłómacz polski wykłada na *cichy*, choć właściwie znaczy *łagodny, słodki* i tak się też w tłómaczeniach na inne języki znajduje. Rzeczywiście jestto jedno i toż samo, bo kto cichy ten i słodki, kto słodki ten i cichy, i tę cnotę Chrystus P. za świętość ogłasza, wlicza do ośmiu błogosławieństw. Nietylko przykładami swemi drogę nam toruje, ale zostawia nam wyraźne polecenie, abyśmy się jej uczyli od niego. *Uczcie się odemnie, żem słodki* (mitis) i *pokornego serca.* Jużem wspomniał o tem poleceniu, gdym mówił o pokorze Chrystusa Pana; dziś gdy się zastanawiamy nad Jego słodyczą, słuszna jest wrócić raz jeszcze do tych słów.

Dlaczego Pan Jezus każe nam nadewszystko uczyć się pokory i słodyczy? Dlatego, że bez nich, choćbyśmy wszystkie inne posiadali cnoty, bylibyśmy dalecy od doskonałości; co większa, bez nich wszystkie inne cnoty byłyby niezupełne, wątpliwe, koszlawe. Nazwano pokorę podwaliną świętości i nic sprawiedliwszego. Boć każda cnota, o ile nie czysto ludzka, naturalna, ale od Boga pochodząca, opiera się na pokorze. Tylko przez pokorę dojść możemy do prawdy o sobie samych; tylko przez pokorę człowiek przeświadczy się, co on wart, właściwie że nic nie wart, że lichy, pełen złości, zdolny do każdego grzechu, gdyby go łaska nie powstrzymywała; a gdy się zaniedba, gdy przestanie być wiernym, może utracić łaskę, a z nią i to, co jest w nim dobrego. Z tego już proste następstwo, że bez pokornej w siebie samego nieufności, żadna cnota nietylko nie jest w nas stałą i bezpieczną, ale każda stać się może

zabójczą. Bo zawsze i wszędzie miłość własna podejść nas potrafi, bo bez pokory niemasz przymiotu, z któregobyśmy chełpić się nie byli zdolni, niemasz uczynku tak na pozór świątobliwego, aby pycha nie umiała wmówić w nas, że on naszą zasługą i chwałą, tem samem odjąć nam zasługę przed Bogiem. Komuż z ludzi dane były łaski, jakie Anioł pyszny, przed swym upadkiem, posiadał? A jednak, i tę istotę doskonałą, brak pokory strącił w przepaści piekielne. To też, kiedy uczniowie Chrystusa opowiadali mu z radością, że na ich rozkaz i choroby ustępują i opętanych złe duchy opuszczają, On im odpowiedział: »Nie z tego się cieszcie; widziałem szatana, który jak błyskawica spadł z Nieba!« Tak i my spaść możemy, jeśli uwierzym w nasze cnoty, albo w siłę i rozum.

Wszystko więc bez pokory wątłe, podejrzane. Ale i o słodyczy, tej drugiej cnocie, którą Chrystus Pan nam zaleca, toż samo co o pokorze

powiedzieć należy. Siostry to bliźniaczki, razem się zrodziły, bez siebie żyć nie mogą. Słodycz nie jest właściwie osobną cnotą, jest raczej uzupełnieniem, uświęceniem cnót wszystkich. Jak nie było i być nie mogło świętego bez pokory, tak i bez słodyczy nikt nietylko świętym, ale nawet prawdziwym chrześcianinem być nie może. Św. Franciszek Salezy powiada o słodyczy (a któż od niego lepszym był jej znawcą), że to jest wewnętrzne usposobienie duszy, które czyni nas uległymi Bogu, spokojnymi w sobie, względnymi dla drugich. W każdym przeto uczynku, w każdym stosunku z bliźnimi, w każdej cnocie, słodycz nasza objawić się musi, jeżeli jest. Jako roztropność, jeżeli ją mamy, cechuje każde słowo nasze, jako wdzięk lub powaga przebijają w każdem poruszeniu, tak i słodycz każdej towarzyszy cnocie, jeżeli nie jest tylko naturalną, ale od Boga.

Bo uważmy, czem byłby n. p. rozum bez słodyczy? Arytmetyką, która prawdy głosi, ale jakże sucho! Czem dowcip bez słodyczy? Szyderstwem. Czem odwaga bez słodyczy? Zuchwalstwem ryzykującem i bezwzględnem. Czem rozkaz bez słodyczy? Przykrem narzucaniem swej woli. A czem posłuszeństwo bez słodyczy? Pochmurnem, mrukliwem służalstwem. Czem sprawiedliwość bez słodyczy? Surowością, a nawet srogością. Czem pracowitość, porządek bez słodyczy? Uprzykrzonym pedantyzmem. A cierpliwość? Obojętnością czasem pogardliwą zawsze nie miłą. Czem sama miłość? Podobno niczem innem tylko szukaniem siebie namiętnem, niewyrozumiałem. Czem gorliwość bez słodyczy? Niespokojną ruchliwością, która wszystkich zamęczy. Czem sąd o drugich bez słodyczy? Najczęściej podejrzeniem. Czem pobożność bez słodyczy? Ah, zmową prawdziwą, chodzącym kwasem, od której każdy najsprawiedliwiej ucieka.

Nawet pokora, czem bez słodyczy, gdyby bez niej być mogła? Tylko faryzeuszostwem. We wszystkiem słodycz konieczna. Bo i karanie bez słodyczy jest tylko sztywną deklamacyą, albo nudnem gdyraniem. Lecz i słuchanie czemże byłoby bez słodyczy? Pewno nie tem, czem być powinno: uwagą szukającą swego zbudowania.

Francuzi mówią, że każdy ma wady odpowiednie swym zaletom, czyli innemi słowy, że każda cnota ma swe strony ujemne. Otóż słodycz to jest błogosławionym odczynem chemicznym, który przydatki i naleciałości zbyteczne ulatnia; z naszych zamiarów, słów i uczynków, nasze ja, naszą osobistość, wyłącza i sprawia, że cnota pozostaje sobą, a bez stron ujemnych. Ona dopiero jest tą miarą, która wszystko w sposób właściwy układa, ona jest solą, która wszystko po Bożemu zaprawia, wszystkiemu nadaje smak nadziemski, woń prawdziwą, Chrystusową, po której

Ojciec Niebieski, jako Izaak, pozna żeśmy Jego ukochani synowie. Dopiero przez słodycz cnoty nasze staną się nadprzyrodzonemi i uczynią nas miłymi przed Panem.

A jak się nabywa ten balsam szacowny, który tyle działa cudów? Jak każda cnota: pragnieniem, modlitwą i walką.

A naprzód pragnieniem. »Jam przyszedł nauczyć Cię i oznajmić Ci, rzekł Archanioł do Daniela, boś jest mąż mocnego pożądania, *quia vir desideriorum es.*« — Kto nie pragnie, nie pożąda, tego Bóg nie nauczy, temu nic nie oznajmi, boć on przecież nie może nam narzucać swych łask, skoro niedbamy o nie.— A potem modlitwą, modlitwą ufną, bo „kto prosi a nie ufa, niechaj nie spodziewa się, mówi św. Jakób, aby od Pana był wysłuchany, aby go modlitwa ukrzepiła; podobny będzie, dodaje tenże Apostoł, do wody kołysanej wiatrami.« — A nakoniec walką. Ta walka jest trudną. Bo tu

nie chodzi o tę słodycz bierną, która się łatwo do wszystkiego nagina, dlatego, że jej wszystko mniej więcej obojętne. Tu chodzi o słodycz nadnaturalną, chrześciańską, której zadaniem stłumić w sobie wszelki wybuch gniewu, nie pokazać na zewnątrz kwasu, niecierpliwości, chociażby serce było zranione, z miłością ważyć, cieniować słowa, nie wyrazić żalu do tych nawet, do których mamy prawo mieć żal. Tu chodzi o to, aby w całem obejściu zachować uprzejmość i spokój, zastąsować się do charakterów trudnych, wymagających, niespokojnych, ustąpić z siebie i wciąż ustępować o ile sumienie pozwoli. Chodzi o to, aby w każdym stosunku z bliźnim stawiać się zawsze w jego nie w swojem położeniu, nie swój ale Boży interes i po Bożemu mieć na oku. Taka czujność nad sobą nie jestże bohaterstwem, nie jestże istotnem męczeństwem? Boć słodycz nie czyni nas wcale ani ślepymi, ani nieczu-

łymi; owszem, wszystko się widzi i wszystko się czuje, lecz dla miłości P. Jezusa i dusz Jego krwią odkupionych, wszystko się przyjmuje, jakby nas nie tyczyło.

Gdybyż to jeszcze skończyć prędko tę walkę, gdybyż tylko w pewnych okazyach i w pewnych dnia godzinach należało ją odbywać, gdybyż jak dla innych cnót były dla niej właściwe miejsce i pora! Ale, nie! Słodycz zawsze i wszędzie jest konieczna, to cnota całego życia i każdej godziny życia, bo całe życie schodzi nam w stosunku z bliźnimi: zawsze więc jest konieczność zwyciężania siebie, przestrzegania miary, spokoju, względności, bez których niema słodyczy. I dziś i jutro; w zdrowiu czy chorobie, w zajęciach czy umartwieniu, z równymi czy z niższymi, przy wolnej myśli czy też w nagłości i nacisku, jednem słowem wszędzie i zawsze! To *zawsze* czyni nam tę cnotę niezmiernie trudną.

Do walki tak trudnej wzywa nas P. Jezus, każe uczyć się cnoty, która o wiele siły nasze przechodzi. Pomimo to, dodaje On: »Jarzmo moje jest słodkie, brzemię moje lekkie!« Lekkie, bo sam pomoc swą przyrzeka, słodkie, bo spracowanych i obciążonych okrzepi i ochłodzi. »Weźmijcie jarzmo moje na siebie, a znajdziecie spokój duszom waszym!« Ten spokój, to najwyższa słodyczy nagroda. Spokój z sobą, spokój z bliźnim, spokój i słodycz w stosunku z Bogiem.





X.

Chrystus Pan na krzyżu.

Opowiada Ewangelista swą przedziwną, zwięzłą prostotą. »A gdy przyszli na miejsce, które zowią Trupiej Głowy, tam Go ukrzyżowali i łotry, jednego po prawej drugiego po lewej stronie. I stał lud patrząc, a naśmiewali się z Niego przełożeni, mówiąc: Inne wybawiał, niechże się sam wybawi, jeśliż ten jest Chrystus Boży wybrany. Naigrawali Go też i żołnierze a ocet Mu podając i mówiąc: Jeśliś ty jest król żydowski, zbawże się sam! A Jezus mówił! Ojcze, odpuść im, boć nie wiedzą,

co czynią. *Pater dimitte illis, nesciunt enim, quid faciunt*".

To pierwsze słowo Jezusa. Przybity do krzyża i do góry podniesiony, patrzy z wysoka na lud. Nie mogąc już boleśniej razić Go kijem i żelazem, Żydzi kłują Go urąganiem i bluźnierstwem. A On na to jedno tylko odpowiada, słowo przebaczenia i modlitwy za prześladowcami. To słowo codziennie i my w modlitwie odmawiamy, to słowo zapisane jest na stu innych miejscach w Piśmie św., ale Zbawiciel dlatego je tutaj powtarza, aby nas upomnieć, że jak On swą mękę na krzyżu rozpoczął do odpuszczenia uraz i przebaczenia swoim prześladowcom, tak i my przez taki tylko akt zacząć możemy nasz szczery i prawdziwy zwrot do Boga. Niema możności, Zbawiciel nas o tem ostrzega, nieprzyjaciół swych nienawidzić i Boga zarazem miłować. Kto się w tem nie przemoże, kto z tego ofiary nie zrobi, ten do siebie przystęp łaski zawiera, dla tego dzieło

odkupienia stracone. Idź się wprzód z bliźnim pogodzić, a potem wrócisz i złożysz na ołtarzu ofiarę. Niechaj każdy z nas zajrzy w głąb duszy i poszuka, azali tam, w najskrytszych gdzieś zwojach uczucia, nie chowa się jakaś nieodpuszczona uraza, jakaś niezatarta pamięć krzywdy i niezduszone pragnienie odwetu. Drobnostka to być może, ale i ona wystarczy, by Chrystusowi w wejściu do dusz naszych przeszkodzić. Wiem ci ja dobrze, że nikt uczucia swego odrazu przekuć na inne nie może, ale każdy być może panem swych słów, panem swych uczynków, poniekąd panem swych myśli. Resztę niech złoży na Boga. On nasze uczucia sprostuje i wyleczy. Zbawiciel swym przykładem nas uczy, jak do tego zmierzać mamy. Modlitwa i Boga nam zjedna i serca poróżnione przejedna. *Odpuść im Panie, albowiem nie wiedzą, co czynią.*

Od tej krótkiej uwagi zacząłem, bo to powinno być zaczęciem na-

szego rachunku sumienia, to pierwszy szczebel naszego nawrócenia ku Bogu, kto przezeń przejść nie zechce, dalej nie zajdzie, i choćby nie wiem jak żałował za swe grzechy, nie wiedzieć jak heroiczne czynił postanowienia, jeśli nieprzyjaciołom swoim nie przebaczy, w szczerym, ufnym, i synowskim do Boga stosunku nie stanie — nie stanie nigdy.

Ale obok tej uwagi nasuwa się druga. Rzecby można, że jest jakaś niejasność w słowach Chrystusa Pana. Wszak bezwiednie grzechu się nie popełnia, jakże więc ci zawinili, którzy swej złości byli nieświadomi? Na nieszczęście, nie każda niewiadomość usprawiedliwia. Psalmista woła: *Ab occultis meis munda me* — z uchybień, których nie znam, oczyść mnie Panie; znać, że i za nie trzeba pokutować i o ich odpuszczenie prosić. Bywają tedy nieświadomości, które grzechu są przyczyną i grzechem są same, i to jest właśnie punkt, nad którym chciałbym się zastanowić.

Niezawodnie sumienie jest regułą naszego postępowania, *norma agendi, dictamen rationis*, i w normalnym stanie, cokolwiek nam wskazuje, czynić powinniśmy. Ale są sumienia tak zbrudzone występkiem, tak z grzechem oswojone, że fałsz osiada w nich na dnie i rozkłada się jako fundament. Apostoł jednym energicznym przedstawia je wyrazem: sumienie wykrętne, niemiłe, jakby wypalone *conscientia cautesata*, i cokolwiek się czyni wedle takiego sumienia, nie może być lepszem i innej mieć cechy, jak samo sumienie. Jakżeż się schodzi do takiej przewrotności, aby to, co światłem, natchnieniem od Boga być powinno, stało się w nas piekielnym wyziewem, jak się formuje tego rodzaju sumienie? Kiedy naciśniesz sprężynę zaraz ona odskoczy, raz jeden i kilka; im silniejszy nacisk, tem dalsze odskoczenie. Ale, jeżeli ciągle naciskać będziesz, sprężyna zwolnieje, utraci swoją elastyczność, z czasem ugnie się; i albo

nie zechce już odskakiwać, albo choć jeszcze zadrga, skrzywioną zostanie na zawsze. Tak samo rzecz się ma i z sumieniem. Po każdym upadku, doznajemy wyrzutów sumienia, tem silniejszych, im większy był upadek, im delikatniejsze sumienie. Te wyrzuty to łaska, to miłosierny przyzyw Boży do pokuty, do poprawy. *Sto ad ostia et pulso* »stoję u bram twojej duszy i pukam cierpliwie,« woła Zbawiciel, gotów zawsze przyjąć w swe objęcia skruszonego grzesznika. Ale, jeżeli on nie korzysta z tych z góry nawoływań i coraz silniej i głębiej w swym grzechu zatwierdza się, pukanie staje się cichsze, słabsze, rzadsze, — nareszcie ustaje. Bóg szanuje wolność człowieka i ponieważ dusza głosu Bożego nie słucha, więc ten głos przestaje do niej odzywać się, a i w tem jest wielki dowód miłosierdzia dla grzesznika, aby nie powiększać jego odpowiedzialności za łaski zmarnowane. Wówczas dokonywa się radykalna zmiana

w człowieku, i władze jego, które powinny służyć rozumowi, zaprzęgają się niewolniczo do rydwanu namiętności, rozum schodzi na drugi stopień, szermierzy zawsze za tem, co się podoba na czasie. Wówczas człowiek sam sobie Bogiem, a jego korzyść własna jedynem dobrem i prawdą na świecie. My Polacy mówimy o takim człowieku, że jest bez sumienia; raczej jestto sumienie sfałszowane; działając według niego robi się złe śmiało, spokojnie, bez wyrzutu i bez nadziei poprawy. Grzechem zapłodnione sumienie wciąż grzech rodzić musi; z niem potępienie niezawodne. Bóg takiego człowieka opuszcza, ale i szatan przestaje go trapić, by go przed piekłem nie płoszyć. Trafnie św. Bernard to wyraża, mówiąc o ludzkich sumieniach, a wylicza ich cztery rodzaje; Sumienie dobre a ciche i spokojne, to raj; sumienie dobre ale niespokojne i kłopotliwe, to czyściec; sumienie złe, niespokojne i zgryźliwe

to piekło; sumienie złe a spokojne i ciche to najniższy stopień piekła, to już za życia w piekło wzięcie!

My Polacy, choć wiele błądzimy, zerwać zupełnie z Bogiem nie mamy śmiałości. Słusznie powiedział pewien sekciarz wolnomularski: nie wierzę Polakowi, choćby najzapalczywiej odgrażał się na Kościół; gdybyś poszukał, znalazłbyś u niego na piersiach z pewnością jaki poświęcony medalik, i widziano też takich, co bluźnili straszliwie, przecząc bóstwu Zbawiciela, a z czcią dla jego Matki Najświętszej nigdy rozstać się nie mogli. Szczęśliwy to brak logiki, on jeszcze nad przepaścią ratuje; ale w innych wypadkach taż sama nielogika szkodzi nam bardzo. Nie wykorzeniliśmy wprawdzie z duszy sumienia, aleśmy je nieco przytarli, a głównie niewiadomością i zaniedbaniem.

Narody wschodnie, a i my się do nich po części liczymy, choć młodsze i pod wieloma względami niższe,

tę jednak nad zachodniemi mają korzyść, że uczucie nadprzyrodzone jest u nich jakby wrodzonem. Żaden Polak nie uwierzy, że ten świat jest wszystkiem, że po za grobem niema innego życia, że nad człowieka niema wyższej istoty, lub że ten świat rządzi się sam, że Bóg wcale się oń nie troszczy. Wiara głęboko na dnie naszej duszy osadzona, a obok wiary jest pewna religijność uczuciowa, która sprawia, że modlitwa przynajmniej od czasu do czasu jest potrzebą naszej duszy, przychodzi nam łatwo. Mamy więc dobre i piękne strony. Ale to są dopiero zadatki, to są talenta z Nieba nam dane, któremi my szafarzyć mamy i przysporzyć ich własnym dorobkiem. Tymczasem my zbyt często na tem przestajemy, nic a nic z swojej nie przynosząc strony. Niewiadomość w rzeczach religijnych, nierozumienie przykazań Bożych i kościelnych, nieznajomość katechizmu jest u Polaków na nieszczęście dość ogólną wadą.

Źle nas za młodu katechizmu uczono, pobieżnie, niedbale; a później w wieku dojrzalszym chyba fanatyk, jak mówią, lub dewotka weźmie jakiś wykład religijny do ręki. »Kto ze mną nie zbiera, ten rozprasza« mówi Pan, to też im dalej w lata rośniemy, tem bardziej w wirze doczesnych zajęć a raczej rozrywek, rozpraszamy tę naszą uczuciową religijność, darmo od Boga nam pożyczoną.

Nie trudno byłoby mi dowieść, że ta nieznajomość religii jest przyczyną znacznej części naszych publicznych i narodowych nieszczęść. — Brak jasnych, ustalonych pojęć, które tylko katechizm dać może, o tem co się godzi i co się nie godzi, sprowadza w umyśle chwiejność i niepewność, w duszy zamęt i rozstrój, w całym człowieku brak zasad, brak charakteru, brak woli. Słyszymy ciągłe narzekania na niedostatek ludzi i każde nasze wysilenie narodowe upadło, jak mówią, dlatego, że nie było człowieka, a jakże on może się

znaleść tam, gdzie niema zasad, gdzie niema woli opartej na niepożytej skale wiary. Biada narodom, które swego wychowania nie opierają przedewszystkiem na katechizmie, muszą one koniecznie stać się pastwą rewolucyi; ale kiedy inne ratują się rozsądkiem, karnością, a wreszcie własnym rządem, to dla nas, nieznajomość religii, i co za tą niewiadomością idzie, sumienie niepewne, wątpliwe, stokroć są niebezpieczniejsze; tem niebezpieczniejsze zaprawdę, im bardziej nami uczucie i rozgorączkowana fantazya, wciąż jak wicher balonem miotają. A w stosunkach prywatnych ileż to nieszczęść, zdrożności, spustoszenia ta nieznajomość religii sprowadza! Nie wiedząc właściwie, co się od nas Bogu należy, jesteśmy względem Niego, często mimo woli, nierzetelni. A że w czem kto Bogu chybia, w tem musi i z bliźnim zawinić, nierzetelność względem Boga czyni nas koniecznie niesprawiedliwymi w innych

stosunkach. Wstyd to i ból powiedzieć, ale zakrywać przed sobą samym się nie godzi: z nierzetelności w sprawach pieniężnych znani jesteśmy i głośni w świecie. Człowiek szanujący cudzą własność — możnaby powiedzieć — jest nieledwie między nami wyjątkiem — każdy przyzna, że naród, coby miał takie wady, nie może mieć przyszłości, dopóki się z nich nie wyleczy; a bez znajomości religii i ścisłego jej pełnienia, wyleczyć się z nich niepodobna.

A gdzież znaleść ścisłe pełnienie? Religia w naszem pojęciu jest coś abstrakcyjnego, co dopiero kiedyś, nad grobem lub za grobem ma się zrealizować. W tem życiu może ona obowiązywać do pewnych praktyk religijnych, do pewnych postów, o ile je kto chce zachowywać, ale zresztą, dla innych stosunków życia, bardzo wielu między nami ma po swojemu sformułowaną religią. Szóste przykazanie niekoniecznie obowiązuje »bo

przecież z naturą walczyć nie można i praw jej słuchać należy«. Praca i sumienne pełnienie obowiązku także nie są konieczne, chyba gdyby to zaniedbanie miało nam szkodę przynieść. Obmowa, posądzanie, a choćby i potwarz nie są tak złe w sobie, byle się o nich obmówiony nie dowiedział. A cóż o kłamstwie powiedzieć; ile to ludzi kłamie wciąż dla popisu, dla zabawy, albo żeby się z jakiejś trudności wykręcili, nie pomnąc, że za każdym razem popełniają grzech. Ileż to wciąż się powtarza patryotycznych kłamstw, w dobrym niby celu, dla pożytku ojczyzny lub bliźnich, a nawet, śmiech powiedzieć, niby dla chwały Bożej! A Zbawiciel powiedział: »choćbyś cały świat pozyskał, a duszy swojej zaszkodził, na nic się to nie przyda«. Więc, choćbym miał wszystkich ludzi i wszystkie narody od razu nawrócić, Bóg nie chce, abym to czynił przez kłamstwo; choćbym miał przynieść Bogu wszystką chwałę, ja-

ka tylko przyniesioną być może, Bóg tej chwały nie chce kosztem choćby jednego kłamstwa. On chce, abym na Niego złożył troskę o tę chwałę raczej niżbym najmniejszy miał popełnić grzech!

A cóż powiedzieć o tem, jak mało rozumiemy obowiązek dbania o dobro Kościoła, o szerzenie Królestwa Bożego na ziemi. Bóg oddał w nasze ręce Litwę i Ruś. Z Litwą złączyliśmy się poczciwie, po bratersku, nawróciliśmy ją, to też związek nasz z Litwą przetrwał wieki i burze i bramy Moskwy i schyzmy niezdolne go rozerwać. Z Rusią inaczej. Zaniedbaliśmy lud polski, który się na Ruś cisnął, a o ludzie Ruskim nie myśleliśmy wcale. Cztery albo pięć razy nasuwała nam się w ciągu wieków sposobność osadzić na niewzruszonych podstawach żywioł włościański, łaciński, na rusi Czerwonej, na Wołyniu, w podolskiem, kijowskiem i bracławskiem. Kraje te wielokrotnie spustoszone przez Tatarów, a na-

ostatku przez Turków, za każdym razem zaludniała kolonizacya polska z nad Wisły. Panowie polscy, którym ziemie odłogiem leżące bywały rozdawane, uwalniali kolonistów od wszelkiej powinności na lat dwanaście, a to zwolnienie, oraz bujność i swoboda stepu przyciągały z głębi Polski, zwłaszcza z Mazowsza, tłumy gromadne. Niekiedy ten pęd kolonizacyjny w strony ukrainne bywał tak silny, że na początku XVII stulecia wołano u nas„ że jeżeli tak dłużej potrwa, to całe Mazowsze się wyludni. I przyjmowali się ci koloniści i rozradzali i dobrze im się działo; ale cóż potem, kiedy kościołów łacińskich nie mieli. Nie budowali ich w nowo założonych wsiach panowie tych ziem, bo na erekcyą parafii biskup łaciński nie byłby zezwolił bez odpowiedniego uposażenia proboszcza Zamiast kościołów stawiano drewniane cerkiewki, zamiast proboszcza łacińskiego osadzano wschodniego księdza na kilku mor-

gach gruntu, bo o jego dotacyą władyka nie dbał. I cóż się stało? Oto, że w tych cerkwiach i u tych popów żenili się koloniści polscy, tam chrzcili swe dzieci, i nim jedno minęło pokolenie, osada mazowiecka zmieniła się w ruską wieś! Mówi Psalmista: *którzy podtrzymują Pana, ci odziedziczą ziemię.* Gdybyśmy troszcząc się o dusze owych Mazurów, braci naszych, nie skąpili grosza na łacińską parafią, płodny lud mazurski rozrósłby się tam potężnie, przylgnęłaby do niego ludność miejscowa ruska jak i dziś lgnie wszędzie, gdzie jest podostatkiem kościołów, i Polska nieprzepartym murem sięgałaby aż po Dniepr i po za Dnieprem. Dziś polskiej, włościańskiej ludności w niejednej okolicy już śladu niema; łacińską krwią wzmocnił się tam żywioł wschodni! *którzy podtrzymują Pana, ci odziedziczą ziemię;* Psalmista dodaje: *a którzy źle czynią, będą wykorzenieni!* czyśmy przynajmniej dbali o lud

ruski? Czyjaż wina, że proboszcz ruski stał tak nisko, że przez wieki, nawet za panowania Unii, nie zrobiono nic dla jego podźwignienia intellektualnego, społecznego i kapłańskiego? Na całej Rusi czarnej i czerwonej nie było ani jednego seminaryum dla świeckiego duchowieństwa. Syn popa, wyuczywszy się u ojca czytać i pisać i trochę liturgii, puszczał się do Kijowa lub do Jass, gdzie były akademie teologiczne, schyzmatyckie. Wracał z chudym zapasem teologii schyzmatyckiej, a oficyał unicki go wyświęcał. Jakie tam mogły być przekonania religijne, tego tłómaczyć nie potrzeba. Ale to nam tłómaczy dostatecznie, dlaczego Unia na Rusi była tak wątłą i dlaczego po drugim rozbiorze Polski, jeden ukaz Katarzyny wystarczył, aby ją zdmuchnąć do szczętu!

To krótki spis naszych przewinień; zbyt on bolesny i nie myślę go też przedłużać. Ale czyż on nie wystarcza, aby nas ostrzedz. Póki jeszcze

czas, póki nas Pan nie zawezwał do stanowczego obrachunku, ocknijmy się, zerwijmy, przyłóżmy siekierę do korzenia złego, a tym korzeniem jest nasza niewiadomość. Chrystus wprawdzie modli się za tych, co z niewiadomości upadają, *Odpuść im Ojcze, bo nie wiedzą, co czynią!* ale my, czyż jesteśmy tak zupełnie nieświadomi, czyż nas sumienie nie przestrzega nieraz, żeśmy nie na prostej drodze? Więc tej wymówki mieć nie będziemy, owszem sama nieświadomość nas potępi, bo jest grzeszną. Jeżeli już nie religia, nie troska o życie przyszłe, to sam zdrowy rozsądek i naturalne uczucie męzkości, zacności i honoru, powinno nas upomnieć, byśmy przecież wiedzieli, czem jesteśmy i byli naprawdę, czem się być mienimy. »Chrześcianinem jestem i nic chrześciańskiego dla mnie obcem być nie może.« Więc przedewszystkiem muszę poznać swoją wiarę, muszę wiedzieć na pewno, czego Bóg się ode-

mnie domaga, za jakie to moje grzechy mój Zbawiciel na krzyżu cierpiał i na krzyżu się modlił. A wtedy, jeśli dopuszczę się uchybień, o których mnie sumienie nie ostrzeże, jeśli i wtedy mimo woli Boga mojego obrażać nie przestanę, to przynajmniej będę już miał jakieś prawo z dobrą wiarą i z pełną ufnością powtórzyć za Ukrzyżowanym: *Odpuść nam Ojcze, boć nie wiemy, co czynimy!*

Pełniśmy błędów i win, ale też i mocno cierpimy. To jedno nas ratuje, bodajbyśmy tylko cierpieć dobrze umieli.

Oto na Golgocie wisi na krzyżu dwóch łotrów: jednakie ich życie, jednaka męczarnia, i jednaki, zda się powinienby być ich koniec. Tymczasem co za różnica! Jeden z tych

łotrów bluźnił mówiąc: »Jeśliś Ty jest Chrystus, wybaw sam siebie i nas.« A odpowiadając drugi sfukał go, mówiąc: »Ani ty się Boga boisz, gdyżeś tejże kaźni podległ. A myć sprawiedliwie, bo godną zapłatę za uczynki odnosimy; lecz ten nic złego nie uczynił. I mówił do Jezusa: Panie wspomnij na mnie, gdy przyjdziesz do Królestwa Twego. A Jezus mu rzekł: Zaprawdę mówię tobie, dziś jeszcze będziesz ze mną w raju!« I umarł jeden szarpiąc się w boleściach i rozpaczy, umarł potępiony na wieki, a drugi uspokoił się i poszedł do raju. Jest w tym przykładzie, jest w tem słowie Chrystusa P. wyrzeczonem do dobrego łotra, coś zaprawdę zdumiewającego. Takiej obietnicy Chrystus P. nie uczynił nikomu. Tymczasem ów człowiek, który swe życie w zbrodniach przepędził, ledwie się do Boga nawrócił, zyskał od razu nietylko przebaczenie, ale tak zupełne, tak doskonałe uświęcenie, że tego same·

go dnia jeszcze miał się znaleść ze Zbawicielem w raju.

Jak to wytłómaczyć? Tajemnica to krzyża, dobrowolnej expiacyi! Ten dobry łotr stał się na krzyżu własną zasługą ze zbrodniarza męczennikiem. Nie zrywał się, nie targał wśród męki, cierpienie przyjął jako mu należne, wyznał, że źle uczynił, i że sprawiedliwie był ukarany. Co większa, on miał dość siły, by stanąć w obronie sprawiedliwości, która go tak okrutnie dotykała; on, gdy go wszystko potępiło i odrzuciło na tym świecie, Bogu zaufał i nie skarżył się, nie sądził się być godnym miłosierdzia, tylko prosił, by Pan wspomniał na niego, gdy będzie w swojem Królestwie. A dobry Jezus, który zawsze więcej daje, niż Go ludzie proszą, nietylko prośbę tę przyjmuje, ale mu do raju przybytek otwiera i za sobą wprowadza.

Mnie się zdaje, że wymowniejszej nauki, silniejszego zalecenia dobrowolnej expiacyi nie łatwo znajdzie-

my. *Bonum est orare, melius laborare, optimum autem pati.* Dobrze jest modlić się, lepiej jest pracować, ale ze wszystkiego najlepsze cierpienie. Ale, iżby to cierpienie było dla nas tem, czem je Bóg zamierzył, trzeba zgodzić się na nie, przyjąć spokojnie, powiemy nawet, chętnie, i choć cała istota wzdryga się, dziękować za krzyż, jako za dar od Boga przysłany. Trudnoć to niezmiernie, akt to heroiczny; Psalmista opowiada walkę, jaką stoczyć z sobą trzeba w takich razach: »Choć w sercu mojem, mówi on, zbierało się na przekleństwo, usta moje błogosławiły i podległa była dusza moja Panu, bo On mi dał cierpliwość, *quoniam ab ipso patientia mea!* A ten akt wielkiej, świętej, heroicznej rezygnacyi tak wiele waży w sercu Boga, że od razu rozbraja Jego sprawiedliwość, grzeszników i zbrodniarzy przemienia w synów wybranych i przyjaciół Bożych. I oto rozwiązanie zagadki i człowiek, co spokojnie

przyjmuje cierpienie, zdobywa jakby przemocą miłosierdzie Boże.

I naród nasz, jak ów dobry łotr, od stu lat wisi na krzyżu przybity, za swoje winy, ostremi gwoździami. Ileż to razy zrywał on się ze swego krzyża, chcąc się z pod gwożdzi wydostać! Próżne wysilenie, po każdem krwawem szamotaniu, znowu w długie omdlenie zapadał. Ach, gdyby on na wzór dobrego łotra, przyjął był swój krzyż jako karę od Boga zesłaną, gdyby na wzór jego uznał wśród męczarni swoje grzechy, gdyby, nie oglądając się na tych, co z niego szydzą, z całą ufnością zwrócił się do Ukrzyżowanego: O Panie, wspomnij o mnie chociażem niegodny; jużby to wołanie trafiło do Pana jużby zmiękczyło gniew Jego, jużby to uznanie własnych win w pośród katuszy rozbroiło jego sprawiedliwość, i ten raj, do którego wzdychamy, jużby nam był otwarty! Amen, Amen!

SPIS RZECZY.

W KRAKOWIE,
W DRUKARNI «CZASU» POD ZARZĄDEM J. ŁAKOCIŃSKIEGO.
1900.